Nr. 34. Warszawa, dnia 12 (25) Sierpnia 1900 r. Rok XX.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50, rocznie rb. 10.

Adres: Sadowa Nr. 14.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

Europa w Pekinie.

Stała się nowa rzecz niespodziewana dla tych, których zaskoczyła już była niespodzianka wyprawy na stolicę wielkiego 300-milionowego państwa, podjętej marnemi siłami jakichś 18,000 ludzi. Te marne siły zajęły Pekin. Po zdobyciu Jang-tsunu w d. 6 b. m., nazajutrz straż przednia była już w Nang-tsai-tsunie. Chińczycy zaledwie garstkę tam pozostawili, na to chyba, aby mogła uciec w popłochu przed jazdą Europejczyków. We dwa dni później stanęła armia sprzymierzona pod Ho-hsi-wungiem, ale posuwała się wolno, wyczekując dział: więcej na swojej drodze spotkała błota, niż Chińczyków. Ci zbierali się pod Hsiang-ho-hsienem, w zamiarze stoczenia bitwy, ale zamiaru tego zaniechali. Sprzymierzeni d. 9 b. m. wieczorem dotarli do Aupingu, o 7 mil od Pekinu. Przez dwa dni uszli 4 mile geogr. D. 12 b. m., w niedzielę, o świcie Japończycy zajęli bez oporu Tung-czu, odległe tylko o półtrzeciej mili od Pekinu, starożytnego Czanbaligu, liczącego już 3,000 lat stwierdzonego istnienia. Nie było już Chińczyków — nie było już i błota. Zawiązano jakieś rokowania— dziecinne. Wieczorem d. 14 b. m., według depeszy admirała Aleksiejewa, który miał bezpośrednie doniesienie służbowe od gen. Leniewicza, głównodowodzącego wyprawą, wojsko zdobywcze zburzyło bramę wschodnią i wdarło się do samego grodu. Inne źródła przynoszą datę 15 sierpnia.

Trudno o większe szczęście i pełniejszą odwagę. Żadne flankowe pochody i zaczepki, żadne nacierania od czoła, ani walne bitwy, ani podjazdy — nic zgoła: po przegranej pod Pei-tsangiem ucieczka do Pekinu. Regularna armia chińska nie założyła nawet min na drodze, czegoby jej za barbarzyństwo poczytać nie było można, a na co z pewnością odważyliby się Bokserowie. Może tylko studnie zatrute— o czem jednak telegraf, mający pilniejsze doniesienia, nic jeszcze nie mówi. Zupełna niemoc, bezbronność, bezsilność, bierne poddanie się losowi — zdanie na dyplomacyę: oto wszystko, na co się zdobyło państwo chińskie, którego siły porządnie zorganizowane na tle dostaw broni od r. 1897 podbijano już nawet do trzech kroć sto tysięcy. Okazuje się, że i rozsądne domniemania, nieprzekraczające osiemdziesięciu tysięcy, były zuchwałemi marzeniami. Jakieś kilkanaście tysięcy lepiej wyćwiczonych i zaopatrzonych nędzarzy — i nic więcej wystawić nie zdołało trzystomilionowe państwo: nie potrzeba ostrzejszego potępienia politycznej organizacyi i politycznego stanu olbrzyma, przed którego okropnością i grozą dla Europy, dla ludzkości, ostrzegał kilka lat temu cesarz Wilhelm II. Despotyzm chiński wraz z chińskim murem zabiły Chiny, zabiły, bo politycznie są już one zabite.

Tydzień polityczny. Jeszcze przed wtargnięciem wojska europejskiego do Pekinu, nawet przed wyruszeniem z Tien-tsinu, rząd chiński — a nie wiadomo, kto i co jest tym rządem — dla wstrzymania kroków nieprzyjacielskich usiłował zawiązać przez Li Chung-Czanga układy o pokój. Przyrzekał wzmocnić rękojmie dla pożyczek i kapitałów europejskich, otworzyć Chiny dla cywilizacyi, zaprowadzić sądownictwo europejskie, przyjąć kodeks cywilny i procedury cyw., opracowany przez prawników europejskich, dać Europie wpływ na szkoły chińskie. Cała ta gotowość, gdyby nawet szczerą była, wystarczyć nie mogła nikomu. Rzecz prosta, Europa chce przedewszystkiem pomścić gwałty, uniemożliwić je na przyszłość, zapewnić misyonarzowi i kupcowi doskonałe bezpieczeństwo, a towarowi zyski: a do tego wszystkiego potrzebuje kroków wojennych i wojskowego obsadzenia kraju, raczej krain chińskich, przytykających do morza. Co więcej, potrzebuje samych tych krain. Pogłębienie pojęcia „sfery interesów“ jest nieunikninone. Do sfer nad zatoką Pe-czyli, nad Jang-tse-kiangiem i Hoang-ho przybyła teraz sfera ujść Jang-tse-kiangu i jego pojezierza, sfera Shang-haju. Anglicy pierwsi do niej pancernikami wjechali, za nimi Francuzi, Rosyanie, Amerykanie, Japończycy wreszcie. Miejscowi konsulowie angielski i francuski darli się z sobą. Anglicy już nawet byli odpłynęli, ale wskutek porozumienia się rządów wrócili.

Pogrzeb Humberta I odbył się w Rzymie d. 9 b. m. D. 11 Wikt. Emanuel III zaprzysiągł konstytucyę. Nie chce on nowych praw i działań ukracających; prawodawstwo obecne wystarczy. Stwierdzono, że zabójca nazywa się, nie Brezzi, ale Bresci. Kara śmierci mu nie grozi, bo jej we Włoszech niema. O przywróceniu jej przy okazyi upominają się kryminologowie, publicyści i myśliciele.

Po zmarłym d. 29 z. m. ks. Alfredzie Edynburskim, ks. Sachsen-Coburg-Gotha objął regencyę za nieletniego księcia d'Albany ks. Hohenlohe-Langenburg.

Pomiędzy Rumunią i Bulgaryą ostry bardzo spór. Bulgarzy pod okiem i opieką rządu utrzymują towarzystwo polityczne, szerzące tęsknotę do ojczyzny bulgarskiej po Macedonii. Rumunowie, mający w tej prowincyi swoich Kucowałachów, głównie na południo-zachodzie, w Epirze i w Tesalii, lękają się o nich i wolą despotyzm turecki od patryotyzmu bulgarskiego. Jeden z głoszących takie przekonanie, prof. Michaleanu, padł w Bukareszcie od noża bulgarskiego. Rumunia pchnęła notę do Sofii. Tu wyparto się wszystkiego, za coby odpowiedzialnym być trzeba — nawet pobłażliwości. Wbrew temu przejęła policya rumuńska list jakiegoś zbrodniarza czy awanturnika do Radosławowa, żądający pomocy do dalszych działań. Rząd rumuński postanowił poskarżyć się Wysokiej Porcie, tj. wyższej nad nią Europie. Słychać o uruchamianiu wojska.

W Serbii król Aleksander I został jeszcze d. 5 b. m. szczęśliwym małżonkiem pięknej, o lat piętnaście starszej od siebie Dragi. Milan dostał 60,000 fr. rocznie *Schweiggeldu* i następcę

w osobie jakiegoś wcale nieznanego generała; przestępcy polityczni — amnestyę.

Roberts tak łapie Boerów, że ci ledwo jego nie schwytali. Wykryto w Pretoryi spisek, który miał współdziałać z oddziałami lotnymi pod Pretoryą. Obaj Bothowie i Delarey ciągle się trzymają, szarpią większe korpusy angielskie, obsaczają je, zmuszają do wstrzymywania i zmieniania pochodów. Z pod Middelburga musieli Anglicy ściągnąć się ku Walowi. Załoga ich nad Elandsriver o mało nie wpadła w niewolę.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

WŁADYSŁAW WISŁOCKI.

Dnia 4 czerwca, w sam dzień zjazdu historycznego, w rozgwarze przygotowań do wielkiego jubileuszu, zmarł, po długich, udręczających cierpieniach, ten pracownik poważny, szczery, ogółowi swemu mało znany, a nie mało zasłużony — ten człowiek cichy, skromny, a czynnie zacny. Oświeceńsi wiedzieli o nim tylko, jako o wydawcy *Przewodnika bibliograficznego*; ale tych jest u nas garstka. Mniejsza jeszcze garsteczka korzystała z jego działalności na polu wiedzy historycznej, tak ogromnem a wielostronnem. Działalność ta była przeważnie wydawniczą, w naukowem, nie w praktycznem, spekulacyjnem znaczeniu wydawniczą. W mowie naszej, rządzącej się grzecznością i pochlebstwem, zapomnieliśmy już o wielkiej różnicy obu tych pojęć: nakładcy i wydawcy. Wisłocki, który treść z rękopisu starego wyłuszczał, metodycznie porządkował, oczyszczał, objaśniał i w książkę przenosił, był innego rodzaju wydawcą, niż właściciel sklepu z towarem książkowym, oddający do druku i puszczający w obieg „Zbiór powinszowań i toastów,“ albo „Wzory listów miłosnych.“

Był wydawcą naukowym, w najpoważniejszem tego słowa znaczeniu — wydawcą wzorowym. Mógł sumiennie podejmować i z pożytkiem spełniać trudy, do których się wprzód rzetelnie uzdolnił. Z pięknem wykształceniem filologicznem w łacinie, ze ścisłością i nigdy nie zawodzącą metodą łączył znajomość bibliografii, a w znacznej mierze i literatury średniowiecznej, rwał się zaś i lgnął do zabytków mowy i języka ojczystego — wydobywał je z pyłu i pleśni i wydawaniem ich książkowe zasoby pokolenia swego pomnażał.

Wydawniczą swą działalność rozciągnął głównie na szkoły ojczyste, na najwyższą z nich, a z później zajętego i do śmierci zajmowanego stanowiska osobiście najbliższą, na szkołę główną krakowską. Już w t. I *Archiwum do dziejów oświaty* itd. (1878), *Raport wizyty generalnej ks. Szczepana Hołowczyca w r. 1782* i z tej samej epoki 1776—85 *Mowy Piramowicza* (Krak. 1889) zebrane w całości, dla historyka szkół mają rzetelną wagę; dla historyka Akademii krakowskiej jest już Wisłocki hojnym; wspaniałym przyjacielem. Choćby nic więcej dla dziejowego przejawu szkolnictwa naszego nie był uczynił prócz naukowego wydania *Liber diligentiarum facultatis artisticae pars I an. 1487—1583*, (jako t. IV *Archivum*, Kraków 1886 XIV, 543 str., 8-o) oraz *Acta rectoratia Almae univers. studii cracoviensis inde ab anno 1469; t. I, continens annos 1469—1537* (Kraków 1893—8, XI, 1222 str., 8-o maj.) — miałby już zasługę trwałą, bo dopiero oba te zbiory, ogłoszone przez niego w doskonałej postaci, nadały istotną wartość dawniejszym Muczkowskiego *Shatuta necnon Liber promotionum* i innym drobniejszym tak tego, jak innych badaczy, nie mniej i wydaniu statutów przez Szujskiego w *Archivum* (t. I). Samego nawet Putanowicza, który miał więcej prawości w opowiadaniu, niż głębokości w sądzie, Wisłocki dopiero udostępnił dla naukowego sumienia. Jeżeli zostawił po sobie dziedzica swej myśli, to za jakie lat dziesięć powinni by ludzie pracujący nad historyą Akademii i szkół od niej zależnych posiąść w otwartych wszystkim wydawnictwach książkowych całkowity materyał, przez ogień i lekkomyślność ludzką nie pożarty. Z *Acta* uczynił wydawca dar na jubileusz, którego nie doczekał. Małe jeszcze przyczynki *Z przeszłości Uniw. krak.* drukował w latach 1888 i 9 w *Przeglądzie powszechnym*.

Jako filolog i Polak, czuły na przeszłość mowy ojczystej, Wisłocki młodzieńczą już myśl zwrócił na naukę szkolną języka polskiego w wiekach dawnych. Krótka jego rozprawka w *Sprawozdaniu gimnazyum Franc. Józ.* we Lwowie z r. 1868 pokazuje siłę, która potrzebowała tylko ustalić się w jednym kierunku, aby historyę szkolnictwa naszego w najważniejszym, najżywiej obchodzącym zakresie — prawie na nowo wytworzyć. W obrębie tym leży i nader staranne wydanie Glicznerowskich *Ksiąg o wychowaniu dzieci* (Krak. 1896). O miedzę tylko leżąca od szkoły oświata, a za oświatą literatura, zajmowała żywo umysł młodego dr. filozofii, zwłaszcza za pobytu we Lwowie, w gimnazyum i w Ossolineum. Zwrócił się Wisłocki ku Marcinowi Bielskiemu, świeżo teraz jeszcze lekceważonemu. W r. 1873 przedrukował jego *Dwie rzadkości bibliograficzne: Sen Majowy jednego pustelnika i Rozmowę dwu baranów o jednej głowie* (powtórzone wraz z *Sejmem niewieścim* w *Bibliotece Pis. Polskich*, t. XV, Krak. 1889). W pięć lat później dał do t. VI *Rozpraw i sprawozdań wydz. filolog. Akademii* rozprawę *Gwalter Burley i Marcin Bielski* (osobno Kraków 1878), a w r. 1888 wydrukował w *Przeglądzie powszechnym* rozprawkę o księdzu Drze Wyszuku i Bielskim. Do Kochowskiego dorzucił druk jego *Rubus incombustus* (z *Bibl. Ossol.* osobne odbicie Lwów 1873). Przedrukował Zimorowicza Bartł. *Hymny na uroczyste święta Bogarodzicy* (Krak. 1876). W *Szkole* lwowskiej już w r. 1869 pomieścił użyteczną *Krótką wiadomość o towarzystwie literatów w w. XVIII.* Tu należy i *Dziennik drugiej podróży Niemcewicza do Ameryki* 1804—7 (Lwów 1873) i *Powieść o Zającach* Góreckiego (1880).

Staropolszczyźnie rzetelnie się zasłużył wydobyciem na jaw kilku jej zabytków ważnych. *Kazania niedzielne i świąteczne* (Krak. 1875), *Legenda o św. Aleksym z r. 1454* (*Rozpr. i spr. wydz. hist. filozof. Akad. Um.*, t. V), *Kodeks pilznieński ortylów magdeburskich* (*Rozpr. i spr. wydz. hist. filoz. Ak. Um.*, t. II), *Glossa super Epistolas per annum dominicales*, kodeks łacińsko-polski z połowy XV w. (*Spr. kom. język. Ak. Um.*, t. I: osobno Krak., 1876), *Pieśń bernardyńska o należytem przestrzeganiu dziesięciorga przykazań bożych* (*R. i spr. wydz. filolog. Ak. Um.*, t. IX; osobno Krak. 1883) — a nadewszystko wzorowo wydany, bardzo ważny dla językoznawstwa *Modlitewnik siostry Konstancyi z r. 1527* (*Spr. kom. jęz. Ak. Um.*, t. III; os. Kraków 1882)—ujawniły wiele nieznanych lub małoznanych form mowy i języka naszego od końca XIV do początku XVI w. i zwiększyły mienie tej uczoności, która za powołanie sobie obiera przetwarzanie życia umarłych na wiedzę i rozum żywych. Na tem nie poprzestał gorliwy pracownik. Zbliżające się w r. 1881 trzystolecie skonu Kochanowskiego zrodziło w Wisłockim pomysł wydania poetów polsko-łacińskich XV i XVI w. Gorąco napisana odezwa (*Przewodnik bibl.* 1881, str. 127) słabo tyl-

---

CIENIE CHIŃSKIE.

II.

Tien-tsin.

(Dokończenie).

Zatknięty w ziemię drąg, pomalowany na czarno, biało i czerwono, oraz rów napełniony wodą odgraniczają posiadłości niemieckie. Pei-ho pozostaje wciąż po lewej stronie, przyczem bezpośrednio nad wodą zakładają „bulwary niemieckie,“ mające być dalszym ciągiem francuskich i angielskich. Brak jeszcze bruku. Victoria-Road ma być przedłużona przez osadę niemiecką i nosić nazwę ulicy Wilhelma.

Pierwszym budynkiem, wzniesionym na terytoryum niemieckiem, był oczywiście odwach policyjny w połączeniu z więzieniem o mocnych kratach żelaznych i całym właściwym komfortem. Policyantami są wyłącznie rośli Chińczycy. Długie, granatowe kitle obijają im się o kostki, przykrycie głów stanowią kapelusze mandaryńskie, w rękach długie pałki, na rękawach wyszyte czarno-biało-czerwone oznaki.

Odwach znajduje się po stronie prawej, tuż przy wejściu do koncesyi niemieckiej. Po prawej stronie ulicy stoi kilka rządowych budynków chińskich, spichrz soli i trupiarnia. Chińczycy, jak wiadomo, najbardziej pragną spoczywać po śmierci w miejscu rodzinnem. O ile umierają zdala od domu, odwożą ich; a zanim znajdą się środki i sposobność, przechowują zwłoki w trupiarni.

Trupiarnia, należąca do osady niemieckiej, jest to wielka, niezwykle czysto utrzymywana świątynia. Na pierwszem podwórzu stoją lektyki. Oto właśnie przyniesiono jedną z nich i rodzina odprowadzająca zwłoki siedzi w izbie stróża, który ją ugaszcza herbatą. W świątyni kapłani na klęczkach wokoło estrady odprawiają właśnie modły, każdy przyodziany w szatę czerwoną. Pochyleni nad staremi księgami, odmawiają pacierze. Stary arcykapłan dla utrzymania rytmu uderza szybko młotkiem o kloc drzewa.

Za niezliczonemi podwórzami otwiera się wreszcie wejście do ciemnego sklepienia. Prowadzi przez nie korytarz z rozmieszczonemi po obu jego bokach maleńkiemi celkami o drzwiach oszklonych. Do cel tych wstawiają umarłych. Czuć woń rozkładających się ciał. Otwierają właśnie drzwiczki jednej komórki, w której stoi olbrzymia, czarna trumna: w głębi widzimy oparte o mur lalki męzkie i kobiece naturalnej wielkości i pstro przyodziane. Zostaną one spalone, mając towarzyszyć zmarłemu jako służba na tamtym świecie. W kilku koszach leży złoty i srebrny papier w kształcie drobnych pantofelków, na podobieństwo niebitej monety, używanej zamiast pieniędzy. Papier ten również zostanie spalony i stanowić będzie gotówkę zabraną przez zmarłego. Widocznie żywot na tamtym świecie jest kosztowniejszy, niż na tym nędznym padole...

W dzielnicy niemieckiej znajduje się uniwersytet chiński, dzieło Li-Hung-Czanga, kilkopiętrowy gmach, zbudowany po europejsku, szary, kryty czarnym łupkiem. Na czele uniwersytetu stoi były misyonarz amerykański, ongi domowy nauczyciel wicekróla. Prócz niego wykłada jeszcze trzech profesorów, Anglików. Wszystkich można spotkać codziennie konno na drodze prowadzącej na plac wyścigowy. Panowie ci wyglądają jak maturzyści gimnazyalni, ale za to pięknie jeżdżą konno. Bądź co bądź, pozostaje wrażenie, że są to jednakże bardzo niezwykł

ko do umysłu i do energii filologiczno-literackiej przemówiła, a raczej słabą otrzymała odpowiedź w uczynku, który zawsze będzie lepszy, niźli rada. W każdym razie ziarno nie zmarniało: zbiór jest i zdaje się, że nie utracił jeszcze swej ciągłości. Z niego poznano dopiero Pawła z Krosna. Z jakiem zamiłowaniem zmarły chwytał okiem i sercem każdą literę mowy przodków, dowodzi jego *Katalog rękopisów* itd. (nr. 228, 777, 778 i in.).

Energia wydawnicza zwracała się i ku dziejom politycznym. Towarzyszyła jej nieodstępnie sumienność uczonego, niedająca się prawie nigdy odłączyć od tak prostej, a tak rzadkiej, sumienności człowieka; w Wisłockim obie spajał nierozerwalny węzeł czci trwożnej, niemieckiej „Ehrfurcht," dla prawdy. Do tomu I *Acta historica* Akademii weszły Listy biskupa krakowskiego, Jędrzeja Zebrzydowskiego z lat 1546—53, wzbogacone uchwałami Synodów z r. 1547 i 1551 (Krak. 1878, XXXIII i 576 str. 4-o). We dwa lata później ogłosił Wisłocki nieoceniony dokument dla historyka z początku XVII w. *Dyaryusz komisyi Bydgoskiej* (*Arch. kom. hist.*, t. II [*Scriptores rer. polon.*, t. V]; osobno Krak. 1880).

Był Wisłocki nietylko dobrym wydawcą naukowym: był też i bibliografem znakomitym, prawdziwie umiejętnym — nie zbieraczem i spisywaczem wiadomości o książkach, ale rzetelnym urzędnikiem tej *respublica litteraria*, w której bez bibliografii panowałby zamęt rabujący czas i wyniszczający zdolności. Wyrobił też w sobie przymioty dla bibliografa niezbędne— typowe. Książki, której nie widział, do spisów swoich też nie wciągał; książkę, którą przed sobą miał, oznaczał jak najdokładniej. Z przywiązania do książki, jakby istoty, nie rzeczy, zrzekł się zawodu nauczycielskiego; przywiązanie też do książki, a wcale nie zewnętrzna konieczność, uczyniło go bibliotekarzem i bibliografem.

Wychodziła już od r. 1870 zeszytami *Bibliografia XIX stulecia* p. Estreichera. Wisłocki od roku dopiero był skryptorem Biblioteki Ossolińskich. Młodość i zamiłowanie pozwoliły mu tak szybko obeznać się z objawami nowoczesnego książnictwa naszego, że *Uwagi nad pierwszym zeszytem Bibliografii P. Estreichera* (nader rzadkie, odbite tylko w 100 egz., Lwów 1870) zadziwiają i erudycyą bibliograficzną i mocą przekonywającą krytyki. Wkrótce potem otrzymał dr. Wisłocki awans do Krakowa na kustosza Biblioteki Jagiellońskiej, której dyrektorem właśnie był p. Estreicher. W jednej chwili pasmo *Uwag* przerwało się, z niemałą szkodą *Bibliografii* nietylko XIX-go, ale i dawniejszych stuleci,—i samego p. Estreichera, który niezawodnie wdzięcznym byłby za spostrzeżenia naprawiające dzieło — gdyby nie był Wisłockiego zwierzchnikiem. W stosunku, który się zawiązał, wiedza i bystrość metodyczna zmarłego były dla redaktora *Bibliografii* stracone. Pod orzeźwiającym prądem rozumnie przyjmowanej krytyki byłoby w pracy na wielkie rozmiary podjętej, a więc trudnej, i więcej przezorności i mniej gorączkowości, które tak srodze krzywdzą *Bibliografią* Estreicherowską w pierwszych jedenastu tomach. Zamiast współdziałać z sobą, ci dwaj ludzie w jednym i tym samym księgozbiorze pracujący nie mówili nawet wcale do siebie. Wisłocki założył własny organ bibliograficzny dla piśmiennictwa bieżącego.

Wytwory tego piśmiennictwa spisywać zaczął od r. 1877 i za dwa pierwsze kwartały tego roku pomieścił w dwu pierwszych, i ostatnich, tomach *Kwartalnika Kłosów* (Warsz. 1877). Po upadku tego przeglądu pomyślał o wydawnictwie samoistnem. W lipcu 1878 pojawił się *Przewodnik bibliograficzny*, obecnie liczący już 23-ci rok istnienia. Wzbogacony zajmującą kroniką, mając nieco ogłoszeń księgarskich płatnych, utrzymywał się przy materyalnej ofiarności samego redaktora-wydawcy, człowieka niezamożnego. Gdy okoliczności uszczupliły bardzo znacznie poczet odbiorców, w r. 1891 przyszło przesilenie, groziło zamknięcie. Akademia, której członkiem był Wisłocki, ważyła, odważała i wreszcie rozważyła, że wypada dać zapomogę: od r. 1892 tedy *Przewodnik* wychodzi z zasiłkiem tej instytucyi. Przy lepszych warunkach materyalnych niezawodnie mielibyśmy już, po 20 latach, spis przedmiotowy, o którym umiejętny bibliograf marzył już przed kilkunastu laty.

Próbę takiego przedmiotowego systematycznego układu dał Wisłocki w *Bibliografii z zakresu historyi, literatury i oświaty w Polsce* (I, 1877—8; II, 1878—81. Kraków), dalej w *Bibl. historyi geografii historycznej i historyi prawa polskiego z lat 1878, 1879 i 1880*, wreszcie w *Bibl. pedagogicznej polskiej*, w t. II *Encyklopedyi wychowawczej*, str. 102—183 (bez podpisu, r. 1882). I tu również duch rozbił się o materyę: nie starczyło funduszów na wydawnictwo ciągłe a samoistne, a Akademia nie mogła oddawać *Archiwum*, przeznaczonego na materyały historyczne, pod druk ciepłego jeszcze materyału bieżącego. Dziwić się można, że taż Akademia nie zdobyła się dla Wisłockiego na zachętę do prowadzenia dalej bibliografii własnych jej wydawnictw, rozpoczętej w r. 1877 (*Dzieła i rozprawy* itd., Kraków 1878). Porównanie pracy zmarłego z robotą p. Matuli (r. 1894) do podziwu dorzucić może tylko żal.

Najważniejszą pracą Wisłockiego bibliograficzno-historyczną jest *Katalog rękopisów* Bibl. Jagiel., dzieło prawdziwie pomnikowe (LXXXI i 876 str., 8-o maj, Kraków 1877—81), ze znakomitą, przejrzystą przedmową.

Wisłocki, prawdziwie, jakby miał duszę bibliograficzną, wszystko w kleszcze bibliografii ujmował. W r. 1881 wydał *Bibl. obch. urocz. jubil. Kraszewskiego*, w r. 1884 *Sobiesciana*, w r. 1898 *Mickieviciana*. Niepodobna tu jeszcze nie wspomnieć jego *Pocztu chronologicznego prac drukowanych Grzeg. Piramowicza* (Kraków, 1877, 230 str.), ani też *Rękopisów i ciekawych druków nabytych do Bibl. Oss.* w latach 1870 i 1871. Na wszystko, co tylko było drukiem lub objawem literackim, zaciągał swój niewód. I tak ubył nam dzielny pracownik umysłowy, którego stratę wszyscy pracujący w nauce i literaturze odczuli; ubył i człowiek prawy — a i to także strata.

Stanisław Krzemiński.

FEJLETON.

PAMIĘTNIK

Kogucia elegia.

Rozmowa dwojga dzieci:

— U nas były na obiad lody, a u was nie!

— U nas był dziś komornik, a u was nie — aha!

Rozmowa ta, podana kiedyś przez jedno z pism humorystycznych, przypomina się nam zawsze, ile razy słyszymy pianie pewnych „postępowych" koguców, którzy ze swego płotka urągają lotnym ptakom za to, że te nie wznoszą się do ich wyżyny, nie siadają na ich żerdziach i nie grzebią w ich śmietniku. Według bowiem tych zwiastunów zmian atmosfery umysłowej, tych nadrannych zegarów rozwoju świata,

profesorowie. Wykładają prawo angielskie, naukę inżenieryi, matematykę, przedewszystkiem zaś geografię; na ogół biorąc, uczą nie więcej, niż u nas w szkołach elementarnych. Na wykłady uczęszcza 200—300 studentów, Chińczyków. Kiedy już biedacy przesłuchali wymaganą ilość semestrów, nie wiedzą dobrze, co począć ze swemi wiadomościami: uniwersytet taki nie ma żadnej łączności z życiem. W Chinach popłaca jedynie nauka chińska. Po ukończeniu uniwersytetu młodzi ludzie otrzymują co najwyżej posady pisarzy u kupców europejskich. Li-Hung-Czang posłał w swoim czasie 200 Chińczyków do uniwersytetów amerykańskich; niektórzy z nich wrócili nawet z tytułem doktora. Jeden z nich pracuje w sklepie europejskim jako subjekt, mając tam sposobność stosowania swej wiedzy doktorskiej przy sprzedaży lamp naftowych.

Dzielnica chińska Tien-tsinu słynną jest z nieczystości. Jest w tem trochę przesady, Tien-tsin bowiem jest brudny o tyle, o ile brudnem bywa każde miasto chińskie. Wpływy europejskie są tu znacznie mniej potężne, niż np. w Szang-haju, skąd też chiński sposób życia zachował w Tientsinie całą swą odrębność. Wogóle na północy, zdaje się, piętno chińskości jest silniejsze, niż na południu, a przytem Tientsin jest jednem z największych miast w państwie. O ile liczba mieszkańców miasta chińskiego daje się wogóle określić; obliczają ją na milion niemal ludności. W każdym razie liczy on jej więcej, niż Pekin. Główne ulice są szerokości wązkich zaułków w miastach europejskich, a i to jest już dużo, jak na stosunki chińskie. Ulice boczne bywają jednak tak wązkie, że trudno się na nich minąć dwu przechodniom, a tak cuchnąco, jak gdyby wszystkie kanały odchodowe kończyły się w ich rynsztokach.

Ruch na głównych ulicach dochodzi olbrzymich rozmiarów w godzinach popołudniowych. Jest to życie uliczne wielkiego miasta. Tysiące pieszych, nieprzerwane i nieprzejrzane szeregi „riksz" płyną obok siebie dwoma rzędami, przypływają i odpływają bez ustanku. Częstokroć cały ruch zatrzymuje się; wózki nadchodzące z tyłu wpadają na przednie; *kuli* krzyczą i klną, póki zbiegowisko się nie rozwikła, a wtedy znów pędzą w dzikim pośpiechu, a „riksze" znów poskrzypują po kamieniach i wybojach aż do nowego zetknięcia. Mijają nas chińskie wózki podróżne, ciągnione przez leniwe muły, lektyki wsparte na silnych ramionach *kuli* migają nad głowami tłumu. Chińczyk przedstawia się bardzo malowniczo, gdy w długim, opuszczonym płaszczu jedzie na mongolskim o bujnej grzywie rumaku.

Sklep obok sklepu. W mieście chińskiem każdy jest kupcem, skąd się przeto biorą kupujący? W Tien-tsinie kwitnie między innymi przemysł dywanowy. Wyrabiane tu dywany z szerści wielbłądziej znajdują nabywców w całych Chinach. Wełnę barwią przeważnie na biało i niebiesko. Wzór składa się zazwyczaj z prostych linij, połączonych w ozdoby artystyczne. Dywany te są miękie, oko zaś przyjemnie spoczywa na ich pięknych, gorących barwach i na prostych, jasnych liniach rysunku.

Dywany te tkają w nędznych, ciasnych warsztatach chińskich. Właściwie nie są one tkane, lecz plecione: na ścianie rozpostarta jest rama odpowiadająca zamierzonej wielkości dywanu, w niej porozpinane są sznury; rzemieślnik zaś siedzi przed nią na wązkiej ławeczce, spuszczającej się na powrozach od samego sufitu. Rozpoczyna się robota od dołu i w miarę jak postępuje, ławeczka podnosi się w górę. Każdy robotnik ma nad głową kłębki różnokolorowej wełny, wplata nitkę w sznur, zawiązuje ją i obcina bezpośrednio nad zrobio-

tych wrzaskliwych karmicieli zwołujących kokosze do znalezionego ziarnka, „postępowość“ zamyka się tylko w ich stadzie, w ich kurniku, a nieraz — w ich własnych czerwonych grzebieniach, ostrych pazurach i chrapliwem gardle. Wobec ich kukuryku nawet ryk burzy jest zaledwie cykaniem świerszcza za piecem. Jeżeli oni uznają, że p. Frenkiel gorzej naśladuje żabę w „Dzwonie zatopionym,“ niż p. Żelazowski, lub że pestka stanowi rdzeń ideału, a ktoś temu zaprzeczy, albo tylko wzruszy ramionami, natychmiast obwieszczają, że jest zacofańcem i farbowanym demokratą. Trzeba bowiem koniecznie tryumfująco gdakać nad ostatnią zdobyczą, którą oni wygrzebali, chociażby to była zwyczajna paciorka szklanna.

Taką kogucią elegię nadesłano nam w wycinku z pisma krakowskiego *Krytyka*. Jest to typowy gwizd dziennikarskiego sztubaka, który mierzy ludzi i rzeczy swoją małą ckierką i który rycerską chlubę postępowca *sans peur et reproche* widzi w tem, że bezimiennie i kłamliwie oskarża prasę „postępową.“ Według niego „wpływ jej słabnie i znaczenie maleje,“ „traci ona prenumeratorów i siłami nie imponuje, przyjmuje tylko prawowiernych (?), więc zdolniejsze i żywsze umysły muszą z niej uciekać,“ „zwalcza się też i między sobą zaciekle i na tle zwykle osobistem, a swej postępowości dowodzi tylko tem, że małe płaci honorarya i wymyśla Sienkiewiczowi.“ Jeżeli szanowny elegista ma dziurawe buty i długi w sklepiku, których załatać i pokryć nie może zarobkami literackiemi, to najzupełniej pojmujemy jego rozgoryczenie; ale czyż nie lepiej było tę sprawę załatwić na drodze zaliczki, pożyczki lub zapomogi, niż przez publiczną wystawę zmyślań i oszczerstw w Krakowie? Bo czy to jest prawdą, że „wpływ prasy postępowej słabnie i znaczenie jej maleje“? Czy to jest prawdą, że ona odsuwa od siebie zdolniejsze i żywsze umysły (naturalnie duchowo pokrewne) i gdzie one po za nią są? Czy to jest prawdą, że ona walczy z sobą zaciekle? Czy to jest prawdą, że ona „wymyśla“ Sienkiewiczowi? Rzeczywiście, nieraz jaki chorąży, dla którego sztandarem jest jego własny jaskrawy krawat, nie mogąc utrzymać się w żadnej drużynie, zawiązuje konfederacyę z dwudziestu własnych palców i woła: postęp — to ja!, ale to tak nie zmienia rozwoju naszej myśli i literatury w kierunku postępowym, jak nie zmienia biegu rzeki kołek tkwiący w jej dnie, chociaż tworzy około siebie mały wirek.

Specyalnie co do naszego pisma, bezimienny kogucik pieje, że „*Prawda* przoduje (obecnie) w tym świętoszkowo-cnotliwym tonie, który swą brzydotą ośmiesza demokracyę.“ Jeżeli w tem *cri-cri* jest coś więcej oprócz bezmyślnego dźwięku, to przypuszczalnie elegiście nie podobają się nasze mocne akcenty, położone na to tętno odrodzenia moralnego społeczeństw ucywilizowanych, które z potężną siłą zabiło w ich łonie. Z takim gustem niema rady. Gdyby na nas spoczywał obowiązek kształcenia autora w wiedzy i uczuciach, które winien był sobie przyswoić przed występami nawet w *Krytyce* krakowskiej, bylibyśmy przerażeni ciężarem tego trudu; ale ponieważ nas nie obarcza taka powinność, więc musimy go pozostawić jego upodobaniu, jak owego żyda, który narzekał: „Co się dzieje, co się dzieje! Gadają, co ma być przymusowa kąpiel...“

A do wszech kogutów i kogucików, którzy sobie przypinają metalowe ostrogi, ażeby niemi ranić towarzyszów, najczęściej zaś w zapalczywości przebijają własne brzuszki, zwracamy się z następującą radą:

Usuńcie się z prasy postępowej, bo niezdolni jesteście ani do ukochania idei, ani do poświęcenia dla niej swoich robaczych interesików i pretensyj, ani do łącznej pracy i idźcie co prędzej tam, gdzie płacą większe honorarya.

Pożar Jasnej Góry.

Wiadomość o pożarze Jasnej Góry przeraziła wszystkie żywioły naszego społeczeństwa. Gdyby ogień zniszczył był tę przez lud polski uznany za najczcigodniejszą i najbardziej ukochaną świątynię, wyrządziłby nietylko jemu, ale całemu ogółowi nieobliczoną i niepowetowaną szkodę. Nie trzeba tu zbyt szerokich rozważań, dość przed jakimkolwiek odpustem stanąć na gościńcu wiodącym ku Częstochowie i spojrzeć na te tłumy zbiedzone, sterane pracą i niedolą, które ze smutną pieśnią, będącą raczej płaczem sierot, niż modlitwą grzeszników, spieszą do swej Matki z bolesną skargą i mocną nadzieją, że ona ukoi ich bóle i da im szczęście Taka pielgrzymka jest często jedynym momentem idealnego wzniesienia się tych dusz zagrzebanych w pyle codziennej troski o byt.

Na szczęście spłonęła tylko wieża kościoła. Pożar wynikł z ognia rakiet puszczanych na niej przez kompanię kaliską. Pomijając nieprzystojność podobnej zabawki i niestosowność tej formy wyrażania uczuć religijnych, należy zdumiewać się nad nieostrożnością stróżów świątyni, którzy pozwalają na lekkomyślne igranie z jej bezpieczeństwem. Bez obecnego wypadku i przykrego doświadczenia powinni oni byli rozumieć i pamiętać, że wartość powierzonego ich opiece skarbu wkłada na nich obowiązki nadzwyczajnej przezorności. Gdyby jej przestrzegali, nie byłoby groźnego niebezpieczeństwa, nie byłoby dużej szkody i potrzeby zbierania 150,000 rb. ofiar na odbudowanie wieży.

Figiel literacki, czyli „powtórzenie swojemi słowami.“

Stanowczo nie wiedzie się współpracownikom *Wędrowca*. Rok temu p. Werytus-Ignotus-Skrzynecki podpisał „przez omyłkę“ własnym pseudonimem pracę p. Iłłaski, obecnie w nr. 33 *Muchy* „pomawiają o *plagiat* (horrendum!) „cnego mandaryna Te-Jot-Cecha.“ Przeczytaliśmy wskazane artykuły *Wędrowca* i znaleźliśmy zamiast podpisu znane inicyały p. Teodora Jeske-Choińskiego. Tu pewnie, pomyśleliśmy, kryje się kryminał! *Ktoś* „przez zazdrość,“ chciał „urządzić“ naszego „znanego“ powieściopisarza, „którego nawet tłomaczą za granicą.“ Podpisał jego inicyałami artykuł, który ma wszelkie pozory utworu oryginalnego, nie zawiera nigdzie wskazówek źródeł, owszem każe sądzić, że autor długo przebywał w Chinach, zna doskonale język chiński i chińską literaturę... Tymczasem porównanie artykułów wzmiankowanych z niedawno wydaną przez *Gazetę polską* książką E. Barda „Chińczycy u siebie,“ niezbicie dowodzi, że jest to... prosto *powtórzenie* rozdziałów tego dzieła...*swojemi słowami*. Proszę uważać: my nie mówimy, że to jest... *plagiat*, o, nie!.. Jesteśmy przecie... Warszawiakami!

BADANIA NAUKOWE.

HIPOTEZY W DZIEJOPISARSTWIE.

III.

Widzimy, że piętrzące się coraz wyżej zarzuty przeciw hipotezie o Balduinie, zbudowane na świątobliwości biskupa Stanisława i wiarogodności Kadłubka, upadają zupełnie, a hipoteza o Balduinie

---

nym supełkiem nożem trzymanym w ręce lewej. W ten sposób cała praca sprowadza się do ciągłego związywania i obcinania nici. Za ramą przegląda przez sznury papier z wzorem dywanu, zagadką jest jednak, jak można go odrobić przy takiej metodzie pracy. Odpowiedzi szukać należy w zręczności i cierpliwości Chińczyka. Cała robota przytem idzie bardzo szybko: dywan np. na cały pokój wykona czterech ludzi w przeciągu dwudziestu dni.

W przednim budynku świątyni mieszka taki fabrykant dywanów. Ażeby dostać się do jego warsztatu, trzeba przejść przez podwórze, gdzie na kamiennej podstawie stoi święte naczynie z poczerniałymi od starości bronzami. U podnóża rozłożył się impresario ze skrzynkami optycznemi. Do każdej z nich zajrzeć można przez trzy szybki; impresario stoi tuż obok, dzwoni co chwila, zmienia obrazy i objaśnia je przygodnym śpiewem. Można tam zobaczyć fotografie znakomitości chińskich, wicekrólów w uroczystych strojach i wielkich uczonych; jaskrawe malowidła przedstawiają wielce wojownicze wyprawy, bóg nawet jakiś schodzi na jednem z nich z niebios i bierze udział w bitwie. Zakończenie stanowią takie rozmaitości, o jakich nawet mówić nie można. Wokoło skrzynek pełno rozbawionych uliczników.

Na jednej ulicy zośrodkowuje się handel futrami. Wielkie skóry rozwieszone są po ścianach, mniejsze pochowane w szufladach. Pęki skórek sobolowych, przymocowanych do haków w suficie, robią wrażenie powiązanych kiełbas. Handlarze futer są to panowie pełni godności, ale uprzejmi. Sprzedają swój towar, jak gdyby właściwie wcale tego nie potrzebowali. Każda chińska odzież zimowa musi być podbita futrem. Chińczycy znają się na dobrych gatunkach, dlatego też nie są one zbytnio tanie, nawet w Tien-tsinie. Skóry sprowadzane są aż z Syberyi, lecz i w najbliższem sąsiedztwie, w surowej Mandżuryi i Mongolii nie brak zwierza. Chinki lubią szczególnie futro wiewiórcze i przystrajają niem swe suknie.

Inną jeszcze specyalnością Tien-tsinu są figurki z gliny malowanej (mud). Niższe gatunki ich roznoszą handlarze uliczni; wykwintne dostać można w jednym tylko sklepie. Ponieważ zaś trudno żyć z czystej sztuki, przeto przed magazynem odbywa się sprzedaż zamszu, chińskiej wódki ryżowej, fabrykowanej w Tien-tsinie w ogromnych ilościach, o niemiłym, mdłym zapachu. W głębi sklepu dopiero staje przed nami cały tłum barwny tych drobnych postaci.

Chińska sztuka nie porywa się na rzeczy wielkie; trzyma się raczej ziemi i nie odbiega daleko od życia praktycznego. W wyrobach glinianych jest też ona rzemiosłem naśladującem rzeczywistość, które jednak sumienność, zręczność, smak i żywość, z jakiemi oddano są przedmioty pospolite, podnoszą do poziomu sztuki. Figurki gliniane w Tien-tsinie należą do doskonalszych dzieł realizmu chińskiego. Tchną one życiem i błyszczą bogactwem barw wesołych. Wiele przedmiotów do nich wzięto z teatru; cesarze i książęta odznaczają się czarnym strojem epoki Mingów, przyczem w postawach zachowaną jest pewna sztuczność, wskazująca na to, że są to aktorzy w cesarskich i książęcych kostiumach. Tu i owdzie wyobrażone są całe sceny: trzy kobiety np. siedzą przy stole pochylone nad papierem i piszą wspólnie list. Tu znów porwała artystę fantazya i pomogła mu odwzorować kobietę, która śmiejąc się, drażni kreta. Ze szczególnem upodobaniem oddaje artysta kurtyzany. Dziewczęta te są rzeczywiście malownicze w swych klejnotach i gałgankach jedwabnych przy właściwej im chińskiej gracyi. Artysta odtworzył je dokła-

z tej strony obaloną być nie może. Tłomaczy ona w bardzo prosty, przytem uzasadniony i niezbity sposób nietylko wyrażenie kroniki „traditor," ale cały epizod historyczny zabójstwa św. Stanisława, z racyi którego panowanie Bolesława Śmiałego tworzyło dotąd „jedną z największych zagadek w całej historyi polskiej" (Bobrzyński). Zresztą wobec każdej „zagadki" historycznej każda hipoteza tak długo jest uprawnioną, dopóki „zagadki" tej za pomocą innej hipotezy nie można *lepiej* wytłomaczyć i tak samo, jak wobec każdego zjawiska przyrodniczego, każda tłomacząca je hipoteza tak długo jest uprawnioną, dopóki zjawisko to za pomocą innej hipotezy nie da się *lepiej* wytłomaczyć.

Otóż dopóki historycy autora pierwszej kroniki uważają za „anonima," dopóki wyrażenia jego o św. Stanisławie, że był „traditor," wytłomaczyć sobie *nie mogę*, dopóki panowanie Bolesława Śmiałego uchodzi za „jedną z największych zagadek," *usuniętą być nie może* hipoteza o Balduinie, która na razie wystarcza zupełnie do wyjaśnienia tych tajemnic i zagadek.

Ale chociażby hipoteza ta nie mogła dotąd być obaloną przez wykazanie, że konkluzye jej są fałszywe, że zastosowanie jej do epizodu Stanisław-Bolesław jest niemożliwe: to jednak mogłaby być zniszczona, że tak powiem, przez atak frontowy, tj. przez wykazanie, że biskup Balduin Gallus nie mógł być autorem tej kroniki albo, że podstawy tej hipotezy są chwiejne albo, że zupełnie nie istnieją. Takiego frontowego ataku na hipotezy o Balduinie podjął się Stan. Kętrzyński w rozprawie „Gall Anonim" [1]). Zarzuca on tej hipotezie, „iż główną osią jest tu nazwa Gallus; znalazłszy ją przy biskupie Balduinie powiązał Maks Gumplowicz z nim *dość późną* o naszym Gallu tradycyę i uznał go za autora naszej kroniki." Ale zarzut tu polega na *pomyłce* szan. krytyka. „Gallus" nie jest „nazwą" ani w jednym ani w drugim wypadku, jak to słusznie zauważył prof. A. Bruckner, ani przy Balduinie ani przy kronikarzu. W jednym i drugim wypadku „Gallus" oznacza *narodowość*, dotyczy więc pochodzenia autora. „Kombinacye zatem Gumplowicza, pisze prof. Brückner, nie mogą być obalone argumentem (Kętrzyńskiego), że określenie kronikarza, jako „Gallusa" później dopiero się rodzi [2]).

[1]) Rozpr. Akad. 1898.

[2]) Brueckner w *Archiv fur slavische Philologie*. T. 22 (1900) str. 66.

Mniej jeszcze niebezpieczne są zarzuty Krotoskiego [1]). Maksym. G. powiada, że Gallus był mnichem w dyecezyi kujawskiej, bo księgę II kroniki poświęca wyłącznie biskupowi Pawłowi, którego nazywa „biskupem polskim." Argument ten ma służyć tylko za dowód, że autor kroniki należał do *dyecezyi kujawskiej*, był bowiem zwyczaj, że duchowni dzieła swe poświęcali biskupom swojej dyecezyi. Tak np. biskup Bruno Segniński (1049—1123) poświęca dzieło swoje *Psalterium Gallicanum Ingowi*, biskupowi z Arti, ponieważ do jego dyecezyi należy [2]). Poświęcenie zatem II księgi kroniki Pawłowi, biskupowi „polskiemu" jest dowodem, że autor kroniki należał do dyecezyi „polskiej." Czy przez „episcopus poloniensis" w tym wypadku należy rozumieć biskupa kruszwickiego, (Kętrzyński Wojciech [3]) i Papée [4]), czy też poznańskiego (Abraham [5]), a za nim Krotoski, to nie tyczy się wcale hipotezy, że Balduin Gallus był autorem kroniki, lecz tylko kwestyi podrzędnej, czy ów „Balduin Gallus," który 1114 mianowany został biskupem kruszwickim, kronikę swoją pisał w Kruszwicy, czy w Poznaniu? Istotę hipotezy tej tworzy zdanie, że autor kroniki „Gallusa," który r. *1113* kronikę swą napisał ku chwale Krzywoustego z tendencyą wyraźną otrzymania od króla nagrody (biskupstwa jakiegoś jak się domyśla Smolka), jest tym Balduinem Gallusem, który w następnym roku, tj. *1114* przez Krzywoustego zamianowany został biskupem kruszwickim. To jest jądro hipotezy Maksymiliana G. Wszystko inne jest dodatkiem podrzędnym.

Zatem strzał Krotoskiego był zupełnie chybiony. Kętrzyński przynajmniej wymierzył na „oś" hipotezy: Krotoski gdzieś tam na uboczu dał strzał; zdaje mu się, że trafił, a tymczasem... spudłował...

Między tymi dwoma krytykami hipotezy o Balduinie jeszcze druga zachodzi różnica. Kętrzyński (Stan.), nie przekonany argumentacyą M. Gumplowicza, powiada: *ignorabimus* i proponuje nieznanego kronikarza nadal nazywać „anonimem." Krotoski, tryumfując z obalenia hipotezy o Balduinie, na jej miejsce stawia sam nową: powiada, że kronikarz Gall był „scholastykiem poznańskim" [1]). Zdanie swoje stara się Krotoski uzasadnić kilkoma cytatami z kroniki, które na nim robią takie wrażenie, jakoby je pisał jakiś „bakałarz."

[1]) *Kwartalnik historyczny*. 1896.

[2]) Gigalski: *Bruno Bischof von Segni* (1049—1123). Munster, 1898.

[3]) Biskupstwa i klasztory polskie. *Przegląd powsz.* 1889.

[4]) W objaśnieniach do *Liber fraternitatis* w *Mon. Pol. Hist.* V str. 575.

[5]) *Organizacya kościoła w Polsce*, str. 95.

Porównanie tych dwóch hipotez: o Balduinie i o Scholastyku poznańskim przyczyni się do wyjaśnienia teoryi o hipotezach w dziejopisarstwie.

Hipoteza o Balduinie wskazuje na *pewną osobistość* historyczną, współczesną, na odpowiedniem stanowisku znajdującą się, na biskupa kruszwickiego, Balduina Gallusa, o którym wspominają katalogi biskupów, Długosz, Paprocki i inni.

Hipoteza Krotoskiego powiada, że autorem kroniki musiał być *jakiś* scholastyk poznański, ale nie wskazuje takiego ani z *imienia*, ani też źródłowo, tj. nie wskazuje nam nigdzie osobistości historycznej w źródłach poświadczonej, a zatem tylko na miejsce X. kapelana nadwornego stawia X. scholastyka poznańskiego. Takich X-ów można bez końca postawić, ale takie hipotezy nic nie wyjaśniają, to właśnie o to chodzi, żeby na miejsce X. postawić osobistość historyczną, *źródłowo dowiedzioną*. Hipoteza więc o scholastyku nie ma żadnej doniosłości, nic nam nie wyjaśnia, a zatem *celu* żadnego nie osiąga i dlatego nie odpowiada *warunkom hipotezy naukowej*.

Nie dziw więc, że hipoteza Krotoskiego: „Gall był nauczycielem" i napisał kronikę swoją „jako podręcznik dla szkół," nie znalazła echa w świecie naukowym. Ha! gdyby Krotoski był wskazał jakąś historyczną osobę scholastyka poznańskiego, gdyby był wskazał „szkoły polskie" w których „podręcznika" tego używano, hipoteza jego miałaby jakieś podstawy. Aczkolwiek i wtedy hipoteza ta, niewyjaśniająca nam ani jednej zagadki historycznej, których tyle jest w tej kronice, nie budziłaby zaufania i nie miałaby żadnej doniosłości.

Tymczasem hipoteza o Balduinie nietylko, że wskazuje na osobistość historyczną, *źródłowo stwierdzoną*, która mogłaby tę kronikę napisać, ale zarazem, jakeśmy widzieli, wyjaśnia niezrozumiałe dotąd miejsce w kronice samej i rzuca światło na jedną z „największych zagadek" ówczesnych dziejów polskich. Jest ona zatem nietylko uprawniona, bo na datach historycznych oparta, ale nadto posiada wielką *doniosłość naukową*, bo tłomaczy różne fak-

[1]) *Kwartalnik historyczny*. 1899, str. 675.

---

dnie aż do szminki na dolnej wardze. Niekiedy łączą się one w grupy: jedna otwiera usta do śpiewu, dwie inne dotykają strun mandoliny długimi swymi, cienkimi palcami. Dalej nieco widzimy życie uliczne: kobietę bawiącą się z dzieckiem; wesołe bobo pełzające po ziemi; starą kobietę stojącą na progu swego mieszkania; staruszka palącego fajkę; żebraków z całym ich brudem, oddanym z bezlitosnym naturalizmem.

Szkoda, że nie można przewozić tych figurek do Europy, gdyż łamią się zbyt łatwo, chociaż kupcy opakowują je bardzo umiejętnie w watę i bibułę.

Przedmioty, nabywane przez samych Chińczyków w sklepach starożytności, są bajecznie drogie. Stosuje się to zwłaszcza do porcelany, gdyż Chińczycy są wielkimi jej znawcami i zapalonymi zbieraczami. Prawdziwie piękną lub starą porcelanę widuje się tylko wtedy, jeżeli ma się specyalne w tym kierunku stosunki. Najlepsze sztuki mają dziś wszystkie niemal stałych właścicieli, jeżeli zaś zjawia się która czasem na rynku, to wyłowioną zostaje natychmiast przez bogatych Amerykanów, płacących nieraz niesłychane sumy.

W ostatniem stuleciu wyrób porcelany w Chinach zaczął upadać. Zaginęły sposoby, nadające dawnym wazonom wspaniałą jasność i głębokość barw. Jedynie t. zw. „fabryki" cesarskie (właściwie wszystka porcelana wyrabianą jest w przemyśle domowym) dostarczają jeszcze pięknych rzeczy. Fabryki te produkują tylko dla dworu, wyroby ich jednakże stają się dostępne dla handlu w ten sposób, że wykradają je, zanim odstawione bywają do pałaców, lub też z samych pałaców. Wyroby z bronzu, również ulubione przez Chińczyków, nie są też tanie. Zwłaszcza istnieje olbrzymi wybór kadzielnic, co łatwo sobie objaśnić, zważywszy, że w każdym domu w Chinach istnieje ołtarz. Są to zazwyczaj miski o wygiętym kształcie, osadzone na czterech wysokich nóżkach.

Handlarze oceniają przedmioty wedle ich starości i materyału, z którego są zrobione. Stąd najlepiej kupować malowidła, spotykane przeważnie w kształcie wiszących obrazów. Rzadko potrafi handlarz ocenić, czy obraz jest wykonany artystycznie wedle naszych pojęć o sztuce, natomiast malowidła na papierze są tanie, na jedwabiu zaś — drogie. Wartość estetyczna zostaje pominiętą, co właśnie jest korzystnem dla nabywcy europejskiego, mającego na względzie tylko tę ostatnią. Obrazy chińskie wytrzymują porównanie nawet ze słynnymi japońskimi, jakkolwiek artysta chiński nie dorównywa japońskiemu w przedstawianiu zwierząt, nie mają ani życia, ani kształtów właściwych: kot siedzący pod kwiatami jest ciężki i zaledwie podobny do zwierzęcia, natomiast kwiaty są wspaniałe. Jest tam bogactwo barw, jest pełne miłości pojmowanie istoty kwiatów. Japończycy odznaczają się śmiałym rysunkiem i świetnym kolorytem, Chińczyk maluje z zastanowieniem, zadowolenie zaś, odczuwane przezeń przy nakładaniu barw, nadaje im ów ton łagodny, wyróżniający obrazy chińskie z pośród japońskich.

Tien-tsin dostarcza wszelakich rozrywek, właściwych wielkiemu miastu chińskiemu. Szósty dzień miesiąca chińskiego poświęcony jest zabawie. Herbaciarnie i restauracye są wówczas przepełnione. Oddają się tam grze w palce, nader podobnej do włoskiej, jakkolwiek od niej wcale nie zapożyczonej: w Chinach, jak i we Włoszech, obaj gracze wysuwają jednocześnie pewną ilość palców i po kolei wymieniają liczbę wyciągniętych palców u obu graczów. Gra się o wino. Na ławkach siedzą dziewczęta, brzękają w mandoliny i śpiewają, w przerwach zaś obchodzą stoły i dolewają gościom wina. Śpiew

ty historyczne dotąd ciemne i niezrozumiałe.

To też nic dziw, że hipoteza o Balduinie choć się spotkała z wielu stron z silną opozycyą, poruszyła jednak mocno umysły i wywołała cały szereg prac naukowych [1]).

Oczywiście, że i ta hipoteza nie musi zawierać w sobie absolutnej prawdy: być może, że i ona, jak liczne inne hipotezy, ma tylko znaczenie tymczasowe, dopóki obaloną nie będzie. Dotąd to nie nastąpiło [2]). A zdawałoby się, że obalenie jej nie powinno być trudnem. Opiera się ona bowiem na pewnej liczbie danych historycznych, sztucznie między sobą skombinowanych — niby rusztowanie podnoszące się na licznych palach. Gdyby więc przeciwnicy tej hipotezy obalili choćby jedną z tych podpór, t. j. *danych* historycznych albo tylko *wiązanie* tych danych z wzniesioną na niej hipotezą: cała hipoteza runęłaby. Gdyby np. udowodniono, że biskup Balduin kruszwicki był szczególnym wielbicielem biskupa Stanisława Szczepanowskiego, to hipoteza o autorstwie jego upadłaby, bo miłośnik św. Stanisława nie mógł go nazwać zdrajcą. Albo gdyby ktoś udowodnił, że biskup Balduin kruszwicki spiskował lub łączył się z wrogami Bolesława Krzywoustego: hipoteza o Balduinie zostałaby osłabioną; bo autor kroniki jest gorącym zwolennikiem Bol. Krzywoustego.

Przytaczamy takie przykłady, aby pokazać *czego by potrzeba dla obalenia hipotezy o Balduinie.* Albo gdyby ktoś wykazał, że konkluzye, które Maks. Gumplowicz wysnuł ze swojej hipotezy, np. konkluzya o stanowisku gregoryańskiem biskupa Balduina jest fałszywą, bo biskup Balduin porozumiewał się z antigregoryańczykami, wtedy również byt hipotezy byłby zachwianym.

Ale dopóki w *taki sposób* hipoteza ta zwalczoną i zbitą nie będzie, dopóty przedstawia ona jedyny środek wytłomaczenia różnych zagadek i tajemnic, które bez niej dotąd wytłomaczonemi być nie mogły.

Zapytajmy w końcu, czy są szanse, aby ta dla panujących u nas zapatrywań na pierwotne dzieje Polski *żenująca* trochę hipoteza gruntownie zbitą została? W szeregu przeciwników tej hipotezy znajduje się jeden, który dzięki specyalnej swojej olbrzymiej erudycyi na polu historyi kościelnej, a zwłaszcza benedyktyńskiej, mógłby to uczynić. Mówimy o uczonym benedyktynie brukselskim *Ursmer Berlière*, zasłużonym wydawcy czasopisma *Revue Benedictine.* Omawia on obszernie hipotezę o Balduinie [1]) a nie znajdując nigdzie żadnej sprzeczności lub mylnej daty, którą by autorowi mógł wytknąć, powiada w końcu: „Przyznaję, że autor obdarzony jest świetną wyobraźnią, imaginacyą i rzadkim talentem kombinacyjnym: *ale*, ileż to innych równie prawdopodobnych („plausibles“) hipotez możnaby postawić, opierając się na *tych samych danych.*“

Tyle tylko Ursmer Berlière mógł zarzucić hipotezie o Balduinie. Trzebaby jednak uczynić wskazaną w nim *próbę*, to jest trzebaby na tych samych danych, na których spoczywa hipoteza o Balduinie, zbudować inną hipotezę, co by może nie było niemożliwem. Wtedy jednak zachodziłaby kwestya, czy ta nowa hipoteza byłaby równie prawdopodobną i niezachwianą, jak hipoteza o Balduinie, czyby w równym stopniu okazała się wytrzymałą na wszystkie zarzuty, czyby w równym stopniu w całej strukturze swojej nie okazywała luk lub sprzeczności.

Dopiero, gdyby taka *próba* została uczynioną i gdyby rzeczywiście na „tych samych danych“ można i inną zbudować hipotezę, równie prawdopodobną jak hipoteza o Balduinie: wtedy ta ostatnia zarzuconą być musiała.

Dotąd taka próba nie została podjętą. *Ursmere Berlière*, który myśl tę wypowiedział nie dokonał jej. A byłby to może uczynił, gdyby *mógł:* bo nie bardzo zdaje się być zachwyconym słynny ojciec benedyktyn, że autor kroniki trochę tendencyjnej miał być benedyktynem. Choć sądzę, że co do tego ostatniego punktu niesłusznie czcigodny krytyk zachowuje się odpornie: bo kronika Galla w żadnym razie zakonowi benedyktynów ujmy czynić nie może. Jakkolwiek nie jest ona bez tendencyj (któreż dzieło historyczne nie jest bez tendencyj?), to jednak kronika ta jest klejnotem historyografii polskiej, którego blask zaciemnia może aż do Długosza wszystkie dzieła nasze historyczne, a z Długoszem o palmę prawdomówności zwycięzko walczy [1]).

Prof. Dr. L. Gumplowicz.

[1]) Prócz wspomnianych dwóch rozpraw Kętrzyńskiego i Krotoskiego porównaj Sobieskiego: „Św. Stanisław i św. Piotr“ (*Ateneum*, 1899. T. II) i Wysłoucha: „Bolesław Śmiały i biskup Stanisław według nowej hipotezy“ (*Bibl. Warszawska*, 1899. T. IV).

[2]) Myli się Piotr Chmielowski, jeżeli w nowej swojej Historyi literatury polskiej, str. 42, twierdzi, że „śmiałe przypuszczenie... że ten Gallus miał na imię Balduin i że był biskupem kruszwickim, zostało stanowczo odrzuconem przez krytykę. Przynajmniej krytyka *warszawska* (*Biblioteka Warszawska*, Rembowski), (*Ateneum*, Pawiński) *nie* odrzuciła tej hipotezy, owszem przychylnie ją przyjęła — tak samo różne niemieckie czasopisma, jako też londyńska *Historical Review* (nr. 54. Tom XIV z kwietnia 1899). Sprawozdawca tej ostatniej powiada nawet, że M. G. „jasno udowodnił“ (clearly prowed), że nieznanym autorem kroniki Gallusa był biskup kruszwicki.

[2]) *Revue Benedictine* XIII, 1896, str. 112.

[1]) W poprzednim nr. zaszły dwie pomyłki: na str. 395 szpal. 2, ustęp. 2 zamiast „ze stanowiska biskupa Balduina Gallusa,“ powinno było być „ze stanowiska *kandydata* na biskupa.“ W tej samej kolumnie w ustępie ostatnim zamiast „listy... w których“ powinno być „*list... w którym.*“

DOROBEK SOCYOLOGICZNY

Ukazał się trzeci *Rocznik socyologiczny*, zdający sprawę z postępów na polu socyologii, oraz nauk pomocniczych w ciągu ubiegłego roku (1899). Jak poprzednie tomy, rozpada się on na dwa działy: jeden, zawierający w sobie prace oryginalne, drugi zaś poświęcony recenzyom i wogóle zobrazowaniu ruchu piśmienniczego w zakresie socyologii ogólnej, religijnej, prawnej i moralnej, kryminologii, ekonomii politycznej, morfologii społecznej itd. Pod względem obfitości dzieł, nad innemi góruje socyologia religijna (mitologia, folklor i in.), co zresztą dało się spostrzedz w latach poprzednich. Natomiast niektóre działy, ongi rozlegle reprezentowane, skurczyły się. Stosuje się to mianowicie do kryminologii i socyoantropologii. Takie zmniejszenie działów, bardzo widoczne, świadczyłoby o zmniejszeniu napięcia studyów w tylko co wymienionych zakresach pracy naukowej. Przypuszczenie to jest zupełnie słuszne, o ile dotyczy kryminologii. Rozwój jej w ciągu lat dziesiątka odznaczał się niezmierną obfitością przyczynków, bo teorya „zbrodniarza urodzonego“ wywołała silne zainteresowanie i ożywione rozprawy. Nagromadzono stosy monografij, które, jak przed paru laty ironicznie odezwał się Tarde, nie dostarczały zasadniczo nic nowego, tylko mełły już zmieloną mą-

---

ich jest dla naszych uszu zawsze jednakowo nieharmonijny; znawcy chińscy rozróżniają w nim rozmaite stopnie artyzmu.

Teatrów istnieje mnóstwo. Aktorzy tientsińscy uważani są za najlepszych w kraju. Niedawno nawet otwarto świątynię muzy w osadzie niemieckiej. Był to niezwykły wypadek, gdyż po raz pierwszy ujrzano w Tien-tsinie teatr, w którym role kobiece grane były nie, jak to przyjął zwyczaj, przez mężczyzn, lecz przez kobiety. Z początku przedsiębiorstwo chwiało się, reklama jednak zrobiła swoje i obecnie publiczność tłoczy się przy kasie co wieczór.

Teatr wykupiony doszczętnie. Przy stołkach niema ani jednego miejsca. W lożach siedzą bogate panie chińskie wspaniale przystrojone perłami w kruczych włosach. Na poręczy loży, pokrytej białą serwetką, stoją najrozmaitsze słodycze: owoce, ciastka, pestki melonu i ziarna łotosu. Scena oświetlona uroczyście, na rampie dwie lampy naftowe. Na scenie bohaterski dramat. Główna artystka ma kostium wspaniały; jest pokryta szminkami do tego stopnia, iż nawet dłonie pomalowane są na czerwono. Artyści, niestety, śpiewają raczej, niż mówią, gdyż podniosły styl wymaga tego w teatrze chińskim. Publiczność słucha z uwagą, wybuchając co chwila oklaskami, gdy artystka wzięła jakiś niezwykle wysoki ton. Po takim trudniejszym ustępie służący teatralny podchodzi do śpiewaczki i nalewa jej filiżankę gorącej wody z blaszanki stojącej na stole z tyłu sceny. Śpiewaczka odwraca się od widowni i pije, zasłaniając się szerokim rękawem; potem powraca i śpiewa dalej. Na stole siedzi orkiestra, złożona z pięciu muzykantów: trzech mandolin i dwóch specyalnie chińskich, przeraźliwych smyczkowych narzędzi muzycznych.

Sceny następują po sobie bez najmniejszego związku. Jeżeli na krzesło kładą poduszki, to należy oczekiwać zjawienia się cesarza, krzesło na stole oznacza przybycie boga. Geniusze z zapalonemi latarniami poprzedzają go. Na latarniach widnieją faliste linie, oznaczające wodę, bóg przeto jest panem tego żywiołu. Sceny z bogami i cesarzami są najnudniejsze: pan taki, skoro raz usiądzie na krześle i zacznie śpiewać, nie prędko kończy. W komedyi odpada przynajmniej ów szkaradny śpiew; aktorzy mówią naturalnie. Orkiestrę wzmacnia jeszcze flet drewniany, który na podobieństwo trąby odbija takt wiersza. Aktorzy mówią i poruszają się do taktu, muzyka zaś wciąż przypomina i poddaje rytm panujący na całej scenie. Przez to gra nabiera jakiejś osobliwej, nieco przesadnej gracyi.

Koniec widowiska stanowi wielki balet przy udziale wszystkich panów i dam trupy. Puzon ryczy, dźwięki plączą się w szalonym pośpiechu. Wpadają na scenę dziewczęta, kołysząc trójzęby. Para spieszy za parą. Tempo tańca jest błyskawicznie szybkie, dziewczęta jednak są tak zdumiewająco zręczne, że nigdy jedna drugiej nie dotknie swą bronią. Taniec ten jest piękny i ognisty i nawet Europejczyk łączy się z ogólnem brawem: bau, bau!

Na zakończenie apoteoza. Na górze siedzi na tronie niedawne bóstwo wód, teraz przedstawiające Buddę. Po bokach jego klęczą dzieci ze złożonemi do modlitwy rękami. Po prawej i lewej stronie parawanu, stanowiącego tło apoteozy, wymalowano są postacie bogów naturalnej wielkości. Cała dekoracya oświetlona jest pstremi latarkami. U stóp Buddy stoi ołtarz spowity w płómienie malowane. Zwierzę ofiarne z tektury leży na ołtarzu. Nagle zaczyna ono drgać w konwulsyach przedśmiertnych. Zachwyt publiczności dochodzi do zenitu...

Przeł. M. B.

kę. W toku dyskusyi wyjaśniono ciemne strony zagadnienia; oba walczące obozy, a więc kryminologów, rozpatrujących zbrodnię jako zjawisko społeczne, oraz antropologów, usiłujących w niej wykazać pierwiastki, niezależne od otoczenia społecznego, pogodziły się, poczyniwszy sobie nawzajem ustępstwa, a wraz z tem powódź przyczynków zmalała, bo poziom wymagań podniósł się i poniekąd uniemożliwił elukubracye pseudo - naukowe, których tyle pojawiało się we włoskiej literaturze. Poniekąd tem samem, a mianowicie chwilowem zainteresowaniem, wywołanem oryginalnością Lapouge'a, należy wyjaśnić rozległość działu socyo - antropologicznego w dawnych rocznikach. Wszakże istniała tam jeszcze inna przyczyna — poprzednie tomy zdawały sprawę niotylko z tego, co dokonanem zostało w ostatniej jednostce czasu, ale także zajęły się przedstawieniem postępów odpowiedniej dziedziny wiedzy w ciągu lat poprzednich. Natomiast w trzecim tomie pojawił się dział, ongi tam nie istniejący— socyologii estetycznej, zresztą tak szczupły, iż nie będziemy się zatrzymywali nad nim szczegółowiej.

Korzystając z materyału, zgromadzonego w trzecim *Roczniku*, postaramy się, zwyczajem lat poprzednich, zobrazować postęp nauk socyologicznych za rok 1899 w szeregu artykułów, rozpatrujących poszczególne działy.

I. Socyo-antropologia i kryminologia.

Z socyo-antropologii mamy do zanotowania poszukiwania O. Ammona nad mieszkańcami Badenu, oraz przyczynki Pullego i Liviego do antropologii Włoch.

Ammon w dziele „Zur Anthropologie der Badener" zawarł wyniki swoich trzynastoletnich poszukiwań nad Badeńczykami, a zwłaszcza nad rozmieszczeniem typów antropologicznych wśród wieśniaków i mieszczan oraz wśród dziatwy szkolnej. Miasta, odpowiednio do swoich rozmiarów,ześrodkowują w swych murach przedstawicieli różnego wzrostu: miasteczka przyciągają okazy nizkorosłe, niezdatne do ciężkiej pracy w polu i szukające dlatego zarobku w najbliższej mieścinie; natomiast do wielkich miast udają się silne, zdrowe, wysokorosłe jednostki, usiłujące na nowej arenie znaleźć lepsze warunki bytu. Nizkorośli, osiadłszy w mieścinach, maleją z pokolenia w pokolenie i stwarzają tam ogniska nizkorosłości wśród otoczenia, odznaczającego się wyższym wzrostem; mieszkańcy wielkich miast, przeciwnie, posiadają wzrost wyższy, niż wieśniacy i świeżo przybyli wychodźcy. To samo zjawisko, a mianowicie doboru, daje się spostrzedz i w stosunku do kształtów czaszki: ludność miasteczek posiada czaszkę tej samej formy, co wieśniacy, wielkich zaś miast — o wiele dłuższą, przyczem mieszczanie z ojca i dziada są bardziej długogłowi, niż synowie przybyszów, ci zaś znowu mają przewagę nad świeżymi emigrantami ze wsi. Innemi słowy: wielkie miasta są ogniskami specyalnego doboru, tem silniej uwydatniającego się, im dłużej rodzina przebywa w ich otoczeniu. Studya O. Ammona objęły i Żydów badeńskich, którzy, jak wszelkie grupy etniczne, tworzą mieszaninę rożnych żywiołów antropologicznych. Ale i tutaj długogłowcy, pod działaniem żywiołowo odbywającego się doboru, wydostają się na wierzch drabiny społecznej.

Praca R. Liviego jest poświęcona zbadaniu rozmieszczenia typów antropologicznych we Włoszech. Streszczać jej wyników nie będziemy, są one bowiem za bardzo specyalne, zaznaczymy tylko, iż fakty, wyjaśniane przez O. Ammona i Lapouge'a, za pomocą większej dzielności długogłowców i żywiołowego wybijania się ich na wyżyny życia społecznego, badacz włoski tłomaczy zgoła inaczej.Ześrodkowanie długogłowców w miastach Włoch północnych, a krótkogłowców w miastach dzielnic południowych uważa on nie za dowód wyższości blondynów względem krótkogłowców, tych zaś w stosunku do typów śródziemnomorskich, ale widzi w tem rozmieszczeniu rezultat przypadku historycznego: blondyn Teuton podbijał Lombardyę, krótkogłowiec odgrywał tę rolę napołudniu. Natomiast praca Pullé'go: *Profilo antropologico dell' Italia* staje na gruncie poglądów Lapouge'a. Jak blondyn długogłowy odznacza się większą energią i ruchliwością w porównaniu z typem krótkogłowym, tak samo ten ostatni co do tych przymiotów przewyższa przedstawicieli długogłowego a śniadego typu śródziemnomorskiego. Rozprawę Pullégo cechują wady, właściwe większości przyczynków socyo-antropologicznych, a mianowicie zupełne nieuwzględnienie czynników natury społecznej. Wszelkie objawy, a więc różnica wykształcenia, zbrodniczości i in., idą na karb odmiennej natury rasowej Północy, gdzie jądro zaludnienia składa się z krótkogłowców w zmieszaniu z blondynami, a Południa, w którem przeważają śródziemnomorcy. Różnice te zresztą są bardzo znaczne. Kiedy na cele religijne na północy sto osób wydaje $3^1/_3$ franka, na południu ta sama liczba jednostek łoży 33! W dzielnicach północnych na jedno czasopismo polityczne przypada trzy literackie i naukowe, w południowych stosunek jest wręcz odwrotny. Wogóle charakter namiętny, kłótliwy południowca ostro odbija od rozwagi mieszkańców Północy.

Przyczynek Pullégo posiada wiele punktów stycznych z pracą Alfreda Niceforo, która wprowadza nas w dziedzinę poszukiwań kryminologicznych. Ta ostatnia nosi tytuł dość efektowny: „Tegoczesne barbarzyństwo we Włoszech." Według Niceforа, Włochy dzisiejsze składają się z dwu odmiennych społeczeństw, znajdujących się każde na innem szczeblu rozwoju kulturalnego. Włochy północne stanowią dzielnicę, należącą charakterem swoim do Europy zachodniej — jest to cywilizowane społeczeństwo włoskie. Tymczasem Włochy południowe wraz z wyspami odtwarzają stosunki hiszpańskie i znajdują się na szczeblu kultury barbarzyńskiej, takiej, jaka istnieje w Afryce i w Azyi. Ten sam badacz, pospołu z Scypionem Sighele, opracowali zbrodniczość Rzymu. Z pośród faktów, wydobytych przez nich na światło dzienne, zanotujemy jeden, a mianowicie, iż niektóre z cyrkułów stolicy włoskiej posiadają zawodowych czarodziejów, którzy sprzedają zgłaszającym się swoje usługi i za oznaczoną zapłatę podejmują się rzucania uroków i zsyłania „postrzałów."

Wogóle, dział kryminologii, acz dość obfity, nie zawiera w sobie dzieł wybitniejszych. Z pośród dorobku ubiegłego roku, wymienimy na pierwszem miejscu poszukiwania Liszta, Sulillasa, Prinzinga, Laschiego i Venturi, jako zawierające w sobie coś nowego.

Liszt uchodzi za jednego z wybitniejszych badaczy na rozpatrywanem polu. Wobec tego wywody jego *), z naciskiem zaznaczające doniosłość czynników społecznych, zasługują na bliższą uwagę. Zbrodnia, jego zdaniem, przedstawia z jednej strony produkt temperamentu przestępcy, z drugiej zaś otoczenia społecznego, w jakiem zbrodniarz przebywa, przyczem to ostatnie wywiera wpływ o wiele znaczniejszy. Przestępstwo jest, w całej swej rozciągłości, zjawiskiem społecznem i jedynie polityka społeczna, usuwająca warunki społeczne zbrodniczości, jest zdolna powstrzymać przestępstwa; system wyłącznie kryminalny, obliczony na poprawę lub przerażenie zbrodniarza, a posiadający całe zaufanie prawodawców dzisiejszych, jest zupełnie bezsilny, a nawet osiąga skutki zgoła odwrotne, bo jeszcze bardziej demoralizuje i tak zepsutą naturę przestępców. Winniśmy nadmienić, że i Lombroso skłania się obecnie ku takiemu poglądowi, jak o tem świadczy ostatnia jego praca *). I dla niego zbrodnia jest wypadkową czynników społecznych i biologicznych, środki zapobiegawcze zaś spoczywają w stworzeniu takich norm życia, przy których zbrodniarz z wroga społecznego zamieniłby się na uczestnika spójni moralnej, właściwej społeczeństwu. Recenzent, zdający sprawę z dzieła Lombrosa, robi z tego powodu uwagę: „Czy książkę tę mamy uważać za testament naukowy? Nie umiemy na to odpowiedzieć, ale nie wątpimy, że stanowi ona erę w rozwoju wiedzy kryminalnej. Zwiastuje ona, że studya antropologiczne nad zbrodniarzem przyznają swoją niedostateczność i odwołują się do pomocy rozbioru zbrodniczości ze strony socyologicznej."

Praca Rafaela Salillasa, w języku hiszpańskim („El delincuente espanol, hampa, antropologia picaresca"), jest monografią specyalną, dotyczącą Hiszpanii a badającą pewne formy zbrodniczości tamtejszej, jako objaw kultury narodowej. Autor rozpatruje hampę, tj. stowarzyszenia zbrodnicze, kwitnące zwłaszcza w Andaluzyi, jako wytwór otoczenia. Hiszpan odznacza się niechęcią do pracy, pasorzytnictwo weszło w krew i ciało narodu, nie dlatego, ażeby obawiano się wysiłku, ale ponieważ tradycya piętnuje pogardą wszelkie zajęcie, które nie jest związane ze służbą wojskową, z zawodem duchownym i naukowym. Charakter narodowy ukochał wystawność i rycerskość, toleruje namiętności zemsty. Wobec tego „hampa" bynajmniej nie przedstawia objawu jakiegoś zwyrodnienia, ale jest poprostu płodem ducha narodowego, niezdolnego przystosować się do warunków życia przemysłowego, właściwych kulturze cywilizowanej. Bandyci andaluzyjscy są potomkami w linii prostej Cyda i błędnych rycerzy, otoczenie nadało tym samym usposobieniom odmienny kierunek, odpowiednio do swego całokształtu. Istnieje cała literatura — literatura banderola — przedstawiająca opryszków jako bohaterów i chciwie rozchwytywana przez lud.

Prace Prinzinga, zamieszczone w *Zeitschrift fur Sozialwissenschaft*, poświęcone są wpływowi życia rodzinnego na zbrodniczość mężczyzny i kobiety i ogarniają jedynie stosunki niemieckie. Okazało się, iż życie małżeńskie oddziaływa odmiennie na każdego z małżonków. Zbrodniczość kawalerów i wdowców, oraz mężów rozwiedzionych jest wogóle większą, niż mężczyzn żyjących w związku małżeńskim; natomiast kobiety zamężne dostarczają większego zastępu zbrodniarek, niż panny. Wyjątek stanowią jedynie bardzo młode pary małżeńskie: i mężczyzna i kobieta w tym razie odznaczają się większą zbrodniczością, niż bezżenni i panny odpowiedniego wieku. Co do wdowców i wdów, rozwiedzionych i rozwódek, dują oni większy procent przestępców, niż kawalerowie i panny tego samego wieku.

Rudolf Laschi poddał analizie zbrodniczość świata handlowo-przemysłowego **). Włosi mają na oznaczenie wszelkich oszustw, przestępstw, fałszerstw pieniężnych odpowiedni termin: *la delinquenza bancaria*, nie nadający się do przetłomaczenia na nasz język. Książka Laschiego posiada wszystkie wady i zalety szkoły antropologiczno-kryminalnej włoskiej. Autor wychodzi z pewnego założenia, na pierwszy rzut oka bardzo poważnego, ale

*) *Das Verbrechen als socialpathologische Erscheinung*, Drezno, 1899.

*) Le crime: *Causes et remedes*. Paryż, 1899.

**) *La delinquenza bancaria*. Turyn, 1899.

historya i statystyka, dostarczające faktów na poparcie tezy, są w sposób nielitościwy naciągane, świadectwa zaś przeczące nie doznają najmniejszego uwzględnienia, jak gdyby nie istniały. Takiem założeniem dla Laschiego jest teza, iż handlowiec i przemysłowiec w każdem społeczeństwie bardziej złożonem jest z pochodzenia cudzoziemcem; jako takiego, żadna tradycya nie wiąże z całością społeczną. Widzi on tylko jeden cel przed sobą: zrobienie majątku i nie gardzi żadnymi środkami, byleby urzeczywistniły się jego zamiary. Na tym gruncie rozwija się specyalna zbrodniczość, łagodna, uprzejma nieraz — oszustw, matactw, szwindlów. Podobnym charakterem odznacza się książka innego Włocha, Venturiego *), o współrzędności płciowo-duchowej. Usiłuje on dowieść, że: 1) zbrodniczość idzie zawsze w parze z potwornością umysłu; 2) choroby umysłowe są objawem stargania należytego stosunku pomiędzy społeczeństwem a jednostką; 3) znajdują się one zawsze w związku z zakłóceniami życia płciowego; natura ludzka bowiem ujawnia się nie w jednostce, ale w całym gatunku, kryminologia jest przedewszystkiem psychiatryą człowieka społecznego i dlatego wiąże się ściśle z życiem płciowem. „Życie psychiczne jest życiem jednostki od chwili jej urodzenia do skonu; życie płciowe — życiem gatunku, utrwalanego przez jednostki.“

Na zakończenie wymienimy jeszcze prace E. Tarnowskiej nad zbrodniczością w Rosyi, oraz książkę Quirosa o nowych teoryach w kryminalistyce — najlepszą z dotychczasowych przeglądów teoryj kryminologicznych.

L. K.

*) *Les correlations psycho-sexuelles.* Lyon, 1899.

LITERATURA I SZTUKA.

Nowy obraz dziejów literatury polskiej.

(Ciąg dalszy).

Okres III“ podzielony został na trzy „doby,“ którym takie nazwy nadano: 1) „Początki przyćmienia światła i psującego się smaku“; 2) „Przeciwieństwo talentu i poczytności“, 3) „Mrok i zastój.“

Trudno o bardziej bałamutne i mniej zrozumiałe oznaczenie chwil dziejowych; niema tu w istocie żadnego pojęcia określonego. Czytelnik może sobie wprawdzie wyobrażać, że się stopniowo zaciemniał widnokrąg literatury; ale zagadkowe nagłówki momentów nie wskazują, jaki czynnik wywołał dane zjawisko. Gdy zresztą autor zaznacza tylko *ściemnianie się światła* w ciągu całego wieku, to poco go dzieli na jakieś tam „doby“? Co właściwie znaczy pierwszy tytuł: „*początki przyćmienia światła* itd.“? Czyż trudno byłoby sumiennemu badaczowi odkryć cały regestr takich „początków“ — nietylko w naszej literaturze w. XVI, lecz w każdej wogóle dobie rozkwitu?.. „Początki“ więdnienia, ciemnienia, upadku—za podstawę do utworzenia okresu nowego służyć nie mogą. Bardziej jeszcze niezrozumiałym jest nagłówek doby drugiej. Czyż „przeciwieństwo talentu i poczytności“ może stanowić cechę jakiejkolwiek chwili historycznej? Wszak ogół czytelników nie odznacza się nigdy ani odpowiednią wiedzą i wytrawnością krytyczną, ani (mianowicie u nas) udoskonalonem do pewnego stopnia poczuciem estetycznem; naturalną tedy jest rzeczą, że częstokroć nieudolni bazgracze, dzięki swemu sprytowi i protekcyi — czy to ludzi możnych, czy wpływowych krzykaczów — zyskują poczytność i chwilową sławę; a na jednostki utalentowane, lecz dla jakichkolwiek względów niepopularne, pada w danej chwili—zupełna lub cząstkowa — klątwa zapomnienia. Tak się dzieje wszędzie od niepamiętnych czasów. I dziś, gdyby nas nie krępował garnitur przyzwoitości towarzysko-literackiej, moglibyśmy wskazać palcem pisarzów utalentowanych a niepoczytnych, oraz poczytnych a nieutalentowanych. Cóż więc za przywilej mają czasy Wacława z Potoka Potockiego, że je historyk takiem ochrzcił mianem?

Z podziałem historyi literatury łączy się ściśle pytanie: do którego „okresu“ lub „doby“ zaliczyć danego autora,—kwestya o tyle przedstawiająca pewną trudność, o ile potrzeba w odpowiednich ramach czasowych umieścić charakterystykę pisarza, który żył i działał w ciągu długiego lat szeregu. Sądzę, że należy tu mieć na względzie chwilę, w której pracownik wystąpił po raz pierwszy na pole czynu, jako dojrzała jednostka, z utworem godnym zaznaczenia, mniej lub więcej ważnym i samodzielnym. Jeśli np. przyjmiemy, że doba wpływu reformacyi religijnej na literaturę polską trwa od r. 1520 (pierwszy edykt, wymierzony przeciw luteranom) do 1586 (śmierć króla Stefana), to Łukaszowi Górnickiemu przypadnie odpowiednie miejsce w tych ramach; bo choć żył aż do roku 1603, ale pierwsza jego ważna praca *(Dworzanin polski)* wyszła w r. 1566. — Cząstkowe oceny działalności jednego i tego samego pisarza pod nagłówkami różnych momentów dziejowych sprzeciwiają się według mnie zasadom zarówno psychologicznym, jak dydaktycznym i kompozycyjnym. Wygląda to na barbarzyńskie ćwiertowanie żywego organizmu. Historya literatury powinna dążyć do nakreślenia tak harmonijnego obrazu, ażeby w nim oblicza różnych twórców zarysowywały się z należytą wypukłością, na tle odpowiednio scharakteryzowanych epok— co, naturalnie, wyłącza wszelkie rozczłonkowywanie działalności jednostkowej. Piotr Chmielowski uznaje bez wątpienia tę prawdę, ale ją w praktyce częstokroć lekceważy,— do czego zmusza autora widocznie, przyjęte z góry, wadliwe rozgałęzienie głównego podziału.

Jan Morsztyn i Wacław Potocki byli niemal rówieśnikami, a zeszli ze świata prawie jednocześnie — pierwszy w 1693, drugi w 1696 r. Nie wiadomo, dlaczego historyk zaliczył Morsztyna do 1-ej („Początki przyćmienia światła...“), a Potockiego do 2-ej doby („Przeciwieństwo talentu i poczytności“).

Podczas pierwszych trzydziestu kilku lat wieku XVIII występują na pole działalności w duchu reformatorskim trzej pisarze polityczni: Stanisław Dunin Karwicki (r. 1709), Jan Stanisław Jabłonowski (r. 1731) i król Stanisław Leszczyński (r. 1733). Piotr Chmielowski, wbrew najelementarniejszym zasadom, przenosi ich do okresu następnego („1740—1795“). Szło mu widać o to, żeby tak efektownie nazwana doba „mroku i zastoju“ — do której ci autorowie chronologicznie należą — nie skaziła się żadnym śladem światła i ruchu...

Julian Ursyn Niemcewicz (ur. 1757, zm. 1841 r.), jeden z najpłodniejszych i najbardziej długowiecznych, a zarazem wpływowych i różnostronnych literatów-obywateli polskich, dojrzał pod względem umysłowo-moralnym i zabłysnął swymi talentami w dobie sejmu czteroletniego. Należał on do grona kierowników ruchu postępowego danej chwili. Przechodził wprawdzie później różne koleje i długo (trzydzieści kilka lat) stał w pierwszym szeregu pracowników społecznych; ale duch epoki, która go młodzieńcem powołała do samoistnej działalności, pozostawił niezatarte znamię na charakterze swego prawowitego dziecięcia. Słuszną tedy jest rzeczą, ażeby go w obrazie historyi literatury polskiej na tle schyłkowych lat Rzeczypospolitej przedstawić. Chmielowski, zaliczając Niemcewicza głównie do „epoki literatury narodowej,“ rozprawia o nim dwukrotnie: przy końcu tomu II-go (od str. 231 do 233) i w tomie III-im (od str. 51 do 61). Gdy zastanowimy się tu nieco głębiej nad kolizyą, jaka zachodzi między sztucznym podziałem historyi literatury a naturalnym — bo ścieżką życia wymierzonym — okresem pracy pisarskiej, łatwo dojdziemy do wniosku, że możnaby w danym razie rozstrojowi temu zapobiedz, czyniąc zadość pewnej racyi dziejowej. Przesuńmy granicę, oddzielającą dwie „epoki“ — z r. 1795 na 1820 (wystąpienie Mickiewicza), a Julian Ursyn Niemcewicz znajdzie się, jak we własnym domu. Nawiasowo zauważyć muszę, że Chmielowski, za innymi biografami, zgodnie z Niemcewiczowskim *Pamiętnikiem czasów moich*, podał błędną datę urodzenia poety-publicysty (r. 1758), zapominając, czy nie wiedząc, że Adam Jerzy Czartoryski w swem sumiennem, pięknem a obszernem studyum (*Żywot J. U. Niemcewicza*, Poznań, 1860), na podstawie znanego sobie dokumentu, zganił ją i zastąpił rokiem 1757-ym.

Rozdrabianie charakterystyki autorów na dwa, a czasem trzy oddalone od siebie artykuły w zakresie „epoki“ ostatniej (zajmującej olbrzymią większość książki) jest u Chmielowskiego rzeczą zwykłą. Ulegają temu losowi nietylko poeci, jak Mickiewicz, Zaleski, Goszczyński, ale i prozaicy — Lelewel, Mochnacki, Libelt i inni. Niekiedy nawet bardzo znaczna, *dwutomowa* przerwa rozdziela ustępy, stanowiące razem wizerunek jednego pisarza: o Józefie Korzeniowskim np. zaczyna mówić nasz historyk w tomie III (od str. 219 do 223), a kończy na ostatnich kartach V-go (od str. 265 do 277). Tę rażącą usterkę spowodowała w części potrzeba poświęcenia całego prawie tomu IV-go „literaturze na wychodztwie.“ Arcytrudną bezwątpienia rzeczą jest skreślenie dziejów piśmiennictwa polskiego z ostatnich stu lat—sam przedmiot narzuca pewne karby i przegrody, psując z góry jedność obrazu; to też historyk danej epoki powinien być nadewszystko daleki od pedantycznego gromadzenia i systematyzowania drobiazgów, a starać się jak najusilniej o treściwość i układ harmonijny.

Poznawszy zasadniczy ustrój dzieła, przypatrzmy się teraz jego pierwiastkom i zasobom naukowym. Autor, za przykładem wielu poprzedników, znaczną ilość kart swej niezwykle obszernej książki poświęca sprawom ogólnym, należącym przeważnie do politycznej historyi narodu. Mówi tedy szeroko o szkołach, — nieco mniej o humanizmie i reformacyi religijnej, o różnych prądach umysłowych i wstrząśnieniach społecznych; ze szczególnem wreszcie upodobaniem, w duchu szczerze demokratycznym, przegląda koleje stosunku szlachty do włościan. Wszystkie te rozprawy, nie przedstawiające zresztą nic nowego, są wogóle oparte na gruncie wiedzy; zarzucić im tylko można, że za wiele miejsca zajmują. Spostrzegam tu jednak parę usterek, które wytknąć jestem obowiązany. W tomie I na str. 134 autor podaje mylną pod względem chronologicznym wiadomość, że „szlachta w r. *1520* utrwala pańszczyznę.“ Historya nie zna podobnej z tego czasu uchwały. Powinien był natomiast Chmielowski, zgodnie z właściwym sobie zacnym nastrojem humanitarnym, ocenić należycie akt konfederacyi warszawskiej z r. 1573. Nazywa go on bezwzględnie (w t. I na str. 162) „chlubą cywilizacyi naszej,“ zapominając, że tę „chlubę“ przyćmiło, umieszczone

w akcie tolerancyi religijnej, haniebne zastrzeżenie, na mocy którego pan rządzi zarówno sumieniem, jak i życiem chłopa.

W bezpośrednim związku z kwestyą uobywatelenia ludu zostaje szczegół, należący do charakterystyki jednego z największych polityków i publicystów polskich wieku XVIII, Hugona Kołłątaja. Chmielowski (w tomie II, na str. 165) powiada o nim, że *„nie nalegał stanowczo* na sprawę (wyzwolenie włościan), odwołując się tylko do szlachetnych, humanitarnych uczuć szlachty." Ciekawa rzecz, na czem autor zdanie to opiera, — bo chyba nie na słowach i czynach krańcowo-postępowego działacza ze schyłkowych lat Rzeczypospolitej? Dość je tylko zestawić ze słynną „Przemową" Kołłątajowską „do prześwietnej deputacyi..." (z r. 1790), ażeby się w proch rozsypało. Oto, na dowód, parę myśli, wyjętych z tej wspaniałej a gorącej apologii obywatelskich praw kmiecia:

„Żadne prawodawstwo nie powinno przemilczać praw człowieka; żadna społeczność nie może robić ofiary z ludzi dla ludzi... Mówić albowiem, że lud nieoświecony nie może mieć w całości praw sobie wróconych, jest mówić przeciw regułom roztropności i słuszności; bo niemasz żadnego przypadku, wyjąwszy niedołężność lat i zmysłów, w którymby człowiek mógł utracać prawa swoje... Sam tylko zbrodzień może być niewolnikiem społeczeństwa..." „Należy ludziom oddać wprzód, co mają wspólnego z nami; a dopiero wolno nam będzie przystępować do układu rządu... „Lecz nie lepiejże wprzód oświecić pospólstwo, aby go (sic!) przysposobić roztropnie do przyjęcia świętego wolności daru? — Nie lepiej, odpowiadam; owszem, byłby to najsroższy prawodawca, któryby oczekiwał oświecenia ludu dla przywrócenia mu wolności. Niemasz nic straszniejszego w naturze ludzkiej, jak oświecony niewolnik..."

Po przeczytaniu tych słów trudno, jak sądzę, wątpić o *stanowczości* Kołłątaja w sprawie wyzwolenia włościan.

Piotr Chmielowski traktuje w swej książce dość obszernie różne gałęzie piśmiennictwa naukowego: kreśli epizodycznie dzieje tak zwanej „wymowy," publicystyki, historyi, filozofii; uwzględnia też niektóre momenty w rozwoju umiejętności matematyczno-przyrodniczych (Kopernik i dwaj Śniadeccy).

(C. d. n.).

Antoni Gustaw Bem.

SZLAKIEM MUZY.

I. *Wystawy krakowskie.*

A więc oczywiście Sukiennice, niedziela, flirt przeniesiony z kościołów do sali sztuk pięknych, przegląd toalet przedpołudniowych, kilka rzewnych westchnień pod adresem Aksentowicza i — pustka, cisza, nuda — aż do następnej niedzieli...

Tak objawia zainteresowanie dla sztuki owa estetyzująca publiczność, owi wybrani, których potrzeby uregulowało i ustaliło *Życie* krakowskie, ci wykwintni, wytworni — Europejczycy, którym Malczewski już przed rokiem psuł nastrój, a którzy przed czterema laty zaledwie rzucali anatemy na „Szał" Podkowińskiego...

Kraków przedstawia zaiste dziwne zjawisko. Deklamowano tu w ostatnich latach bardzo dużo o bajecznym intelektualnym i estetycznym rozwoju i rozkwicie miasta, spoglądano z pogardą na „barbarzyńców" warszawskich, obwoływano na wszystkich rynkach nazwiska Wyczółkowskiego, Wyspiańskiego, Mehoffera obok nazwisk Przybyszewskiego, Kisielewskiego i... Rydla, mówiąc: „patrz, barbaryo, to my! Kraków!" Tymczasem — to wcale nie „my," albowiem w tej na oko tak pięknej panoramie estetycznej specyficznie krakowskie były tylko — zestawienia.

Niechaj się nikt nie łudzi. Przeciągały przez Kraków rozliczne „nastroje," wszelakoż podstawowy jego nastrój pozostał niezmieniony. Był Pawlikowski nawskróś modernistycznym kierownikiem teatru — „ustąpiono" go, a udeptanoby go, gdyby nie był synem milionowego ojca i z Dzieduszyckich Pawlikowskiej. Urządzał Przybyszewski formalne licytacye na arystokratów ducha, zaklinał, wzywając: „choćiaż tysiąc" — a czytano *Życie*... w redakcyi i jedynie prawdziwa sztuka, krakowska sztuka — upadła. Flirtowano przed „Sarkofagami" Wyczółkowskiego — zakupiono je zaś... w barbarzyńskiej Warszawie; przepyszny dramat Wyspiańskiego legł w grobie już po drugiem przedstawieniu, na widowisku zaś, urządzonem niedawno przez Sienkiewicza w Sukiennicach, było pełno. Czy inaczej bywało w Krakowie przed laty? Gdzież jest ta genialna, nawskróś estetyczna publiczność krakowska, gdzież są te Ateny, skoro niema ich ani na rynku, ani w świątyni?

I odpowiedzieli sobie malarze nasi: Ateny — były! Cała ich sztuka z dzisiejszym Krakowem nie nie ma wspólnego i o ile zaczepia o tę małą, kłamliwą, a jednak próżną i pyszną Pipidówkę, stara się pozostać na poddaszach i na niewytwornej ulicy. Po za tem schodzi w czasy zasnute mgłami, w czasy odległe; szuka wyrazu dla twórczej duszy ludzkiej, dławionej bólem, tęsknotą, niespokojem, dla owych podstawowych, ogólno-ludzkich tonów, które dźwięczą wszędzie, gdzie jest człowiek. W symbolistach krakowskich niema nic specyficznie krakowskiego i nie wyrażają oni duszy współczesnego Krakowa. I są to po największej części malarze-filozofowie, malarze-poeci, rzuceni przypadkiem na to smutne cmentarzysko i wplatający co najwyżej w sztukę swoją melancholię rzeczy umarłych i ekstazy umarłego kultu. Wybiega wreszcie sztuka ta na szerokie, przesłonecznione przestrzenie, oddycha wonią łąk, lasów i pól, pnie się na szczyty Giewontu lub też chwyta modlitowny rytm lilij, kołyszących się na jakimś dalekim, nie-krakowskim stawie. To i tylko te motywy wyraża sztuka Wyspiańskiego, Mehoffera, Wyczółkowskiego, Maleszewskiego, Weissa i Stanisławskiego, malarzy, którymi, jako wyłączną swoją własnością, zasłania się dzisiejszy Kraków przed wszystkimi zarzutami „niekulturalnej" Warszawy.

Jest rzeczą niezaprzeczoną, że Kraków posiada wspaniałą kulturę estetyczną, rozsnutą na tle historyi. Lecz spoczywa ona snem zrzadka tylko zakłócanym w kościołach, bibliotekach i zbiorach klasztornych. Malarze — począwszy już od Matejki — znajdują sobie punkt wyjścia w tej starej kulturze historycznej i kościelnej, do *miasta* wszakże kultura ta nie przenika. Malarze tu zamieszkali i Kraków — z tą swoją atmosferą stupieszałych próżnostek i ambicyjek; z tą przyrodzoną mu negacyą wszystkiego, co potrzebuje miejsca, światła i życia; z trwogą przed wszystkiem, co jest namiętnością, prawdą, żywiołem — Kraków i malarze tu zamieszkali, to dwa obok siebie, lecz nie z sobą żyjące światy. Mają tylko wspólny mianownik — przeszłość, którą podzielili się w ten sposób, że miasto schowało się w jej przytynkowaną skorupę, malarze zaś pochwycili i zachowali duszę tej kulturalnej przeszłości. I dlatego że nie żyją życiem Krakowa, posiedli wszystkie dostępne dziś artyście tajemnice nowej i najnowszej techniki malarskiej, szli i idą naprzód, nie z wolą, lecz wbrew woli Krakowa.

Stosunek miasta do malarzy, do modernistycznych artystów wogóle jest mniej więcej taki sam, jak stosunek artykułów wstępnych *Czasu* do jego literackich fejletonów. Na parterze mieszczą się artykuły mody, artykuły zbytku, którego należy dostarczać eleganckiemu światu. Ta sama moda zaspakaja przecież potrzeby Paryża i Wiednia. Na piętrze znajdują się artykuły spożywcze—wszelkiego rodzaju strawa dla ducha i ciała. Ta żywność posiada swoją charakterystyczną woń, ów specyalnie krakowski zapaszek, który na szczęście nie przeniknął do sztuki. Miasto zaś przechadza się po parterze, ponieważ czynią to samo, dla takiej lub innej racyi — w Paryżu i Wiedniu. Dobrze, że są malarze, w przeciwnym bowiem razie nie moglibyśmy mieć wiosennych „salonów," i dobrze, że tych malarzy uznaje zagranica, bowiem: *ça nous donne du relief*... Kto wśród nich najwięcej przyczynia nam chwały, jest „najgenialniejszy, a więc najgenialniejszym jest przyjaciel Wilhelma pruskiego — Fałat.

I jest to wogóle stosunek Krakowa do wszelkiej sztuki. O ile zaś uległa zmianie estetyczna atmosfera miasta, to zmianę tę powoduje łatwiejszy dziś napór głośnego w sztuce nazwiska, związanego z jakimś głośnym już w Wiedniu kierunkiem. Kraków dzisiejszy jest poprostu hotelem gotyckim, który wysyła do pism listę przejezdnych gości. Każdy gość jest dobry, byleby miał nazwisko. A jest to jeszcze jednym dowodem, że dawna kultura nie zrosła się z miastem: nie inaczej bowiem dzieje się w parweniuszowskim Lwowie. Mania wielkości, rozpanoszona w Galicyi we wszystkich dziedzinach, chwyciła obecnie w Krakowie za nową broń: monopolizuje wielkość dla Krakowa. Wszelako artyści tu zamieszkali najmniej chyba o „krakowski" ubiegają się monopol.

Jacy oni dalecy są od sporów o sławę lokalną, jacy zatopieni w życiu minionem i rozkochani we wszystkich drgnieniach, które tworzyły jego potężną falę! Z jaką wrażliwością chwytają byt w jego najtragiczniejszych momentach — z jakim zachwytem piją słońce, które opływa złotym strumieniem tatrzańskie hale!

Wystawa tegoroczna jest jubileuszową, urządzoną ku czci wszechnicy. Dla upamiętnienia tej 500-ej rocznicy urządzono też w krużgankach klasztoru oo. franciszkanów wystawę zabytków z epoki Jagiellońskiej. Zebrano, co było najpiękniejszego i najcenniejszego: portrety i biusty królów i książąt z epoki Jagiellonów, ich autografy i pamiątki osobiste; portrety znakomitych mężów XV i XVI w., dzieła Stwosza i jego szkoły; kosztowności, emalie, tkaniny, hafty, narzędzia astronomiczne i muzyczne; broń; zabytki kościelne, relikwiarze, kielichy i monstrancye, paramenty i witraże; medale i monety, dokumenty archiwalne, kodeksy miniaturowe, wydawnictwa dzieł Długosza, Kopernika i innych; sztychy i drzeworyty, stare druki i rzadkości sztuki typograficznej po koniec XVI w. itd. I mówiły krużganki franciszkańskie mową żywą, mową wielkiej i pięknej, choć nawskróś kościelnej kultury.

I zdaje się, że z sali Sukiennic mowie tej odpowiadają liczne głosy. Rozpięty na witrażu Wyspiańskiego i w królewskie szaty odziany trup Kazimierza Wielkiego powtarza widać za smutnym Salomonem: „Próżność nad próżnościami i wszystko próżność!" A straszny jest ten głos z za grobu i pełen śmiertelnej grozy. Na kartonach witrażowych, przeznaczonych dla kościoła św. Mikołaja we Fryburgu, maluje Mehoffer życie i męczeństwo SS. Sebastyana, Maurycego, Katarzyny i Barbary, w barwach, które odnalazł i pokochał może, przeglądając miniatury z XV w., malowane przez Jana z Sambora, a zdobiące antyfonarz do pacierzy kapłańskich z owego czasu. Na widok farb Mehofferowych otwierają się stare gradualy, mszały i ko-

doksy i staje przed oczami sztuka zapomniana, zaniedbana a znajdująca się może dzięki Mehofferowi na drodze odrodzenia. Z krużgankami franciszkanów łączy go też atmosferą i nastrojem „Przenajświętszy Sakrament" (witraż), który opleciony cały złotą mgłą kadzideł, zdaje się uderzać w niebo płomieniem wszystkich ekstaz i uniesień religijnych. Jest to rozmodlenie płynące jasną, bogatą strugą ze źródeł znanych dziś tylko z imienia.

Wyczółkowski zapłakał ze Stańczykiem nad „Lalkami," nad wykolejonymi, którzy służą ku uciesze „wytwornych" i z mogiłą pragnień w duszy żyją z ludzkiego śmiechu i... miłosierdzia. Pokazał jeszcze „Nędzę," uliczną nędzę — tragizm ręki spracowanej a jednak wyciągnionej po jałmużnę i grozę zaklętą w zmęczonych, bezmyślnych oczach żebrzącego dziecka. Potem uciekł z miasta, przypadł do dyszącej młodością ziemi, zawołał z pełnej piersi:

Rozlegnij że się
Głośle po lesie
Po zielonej, sznmiącej dąbrowie
Otrząśnij z rosy
Trawy i kłosy
I te głogi, co kwitną w parowie!
Bez pole, bez wieś
Rozgłosem się nieś
Aż do drogi, co idzie w kraj świata,
Niech się zasłucha
Moja dziewucha
Wodna trzcina, i łąka, i chata
Hej!...

i stworzył chłopkę — taką gorącą, żywą, pachnącą, jak ta ziemia, z której zdaje się wyrastać niby żytni łan, jak to słońce, które ją oplotło i na którem zdaje się być zawieszona. Jest w tej postaci jakiś panteistyczny dech, to samo tchnienie, którem żyją chłopskie kreacye Siemaszkowej. Trzeba *być* panteistą, aby tak zespolić człowieka z naturą. Fałat nie jest nim i maluje dlatego operetkowe chłopki. Droga zaś od Fałata do Wyczółkowskiego jest tak daleka jak droga od przebrania chłopskiego do chłopskiej duszy.

Nie podaję nomenklatury obrazów, umieszczonych na wystawie w Sukiennicach. Usiłuję pochwycić tylko znamienne jej rysy w najwybitniejszych jej przedstawicielach. Wystawa na ogół jest znakomita. Zdobi ją obok wielu innych Chełmoński nadzwyczaj charakterystyczną „Szopką" i taką sceną „Na folwarku," jaką on tylko pochwycić i oddać potrafi. Zdobią ją liczne, genialne portrety (Chełmoński przez Wyczółkowskiego, Boznańskiej portret dr. Woszyckiego), zdobią ją wreszcie zawsze te same główki Aksentowicza i bardzo różne krajobrazy Ruszczyca.

Nieznanych nazwisk nie spotkaliśmy. Tylko w dziale rzeźby Nossig po raz pierwszy wystawił przepiękną w wyrazie głowę żyda-tułacza i bardzo głęboko pomyślaną głowę króla Salomona. Wystawił też doskonałe medaliony Paderewskiego obok mniejszych i mniej cennych rzeczy. W dziale rzeźby najwybitniejszym artystą jest dobrze Warszawie znany Łaszczka.

Marya Zabojecka.

POEZYE

Z PIEŚNI DOROHOWICKICH
(cykl „Ziemia").

Chata.

Chato moja, chato
Drogie twoje ściany!
Każdy ich kąt łzami
I potem oblany. —
Budowała ciebie
Razem ze mną bieda,
Co kiedy uściśnie
Piersiom dyszeć nie da. —
Głód, pomór i ogień
Budował cię ze mną:
Przychodziła troska
W bezsenną noc ciemną,
Siadała u łoża
I — nad smutną głową —
Co jedną baśń skończy
To zaczyna nową,
I jak nić przędziwa
Snuje mi do świtu
Wszystkie ciężkie bóle,
Całą nędzę bytu;
Z serca krew wysysa
I łzami się tuczy,
Jak bezbożny upiór,
Co się nocą włóczy. —
Mówią — osinowy
Kol jest na upiora...
Lecz czemże się zaklnie
Ciężkiej doli zmora?
Schylił śpiewak wcześnie
Osiwiałe skronie;
Wzrok w mogiły wrosły
W błękicie nie tonie;
Kąty domu osnuł
Zły pająk — tęsknota —
I na pustych progach
Płacze pieśń sierota. —

* *

Ale przyszło w końcu
Miłościwe lato,
Zaruniała niwa
Bujnie i bogato;
Przyszedł „Święty Juryj" —
Jak śpiewają w pieśni —
„Co stoicie ludzie
Chmurni i boleśni?
Do broń a do pługów!
Wyruszajcie w pole!
Wyorz, siewco, swoją
I nie swoją dolę!"
I kędy po łanach
Przeszły święte stopy
Wybujało żyto,
Stoją złote kopy;
Gdzie rękawem powiódł
Nad łąki rozłogi
Pokoszonej trawy
Widać liczne stogi *). —
Błyszczy sierp żniwiarski
Lśni się w słońcu kosa,
Z łąk i pola chórem
Leci pieśń stugłosa:
Pieśń jak bór ten dzika,
Jak kurhany smętna,
Jak ten łan gorąca,
Jak młodość namiętna,
I potężną mocą
W pierś stygnącą bije:
„Tyś jest chwilą marną,
Jam wieczna — ja żyję!"
Chato moja, chato,
Niechaj nie wyrzeka
Ten, na kogo dach twój
I pieśń twoja czeka. —
Niechaj kornem czołem
W twe progi uderzy,
Niech się hardem sercem
Z dolą czarną zmierzy,
Niech oddawszy tobie
Bark i ducha siłę
Zarobi na cichą
Śród twych pól mogiłę.

Adam M—ski.

---

*) Święty Jerzy (Juryj) gra wielką rolę w pieśniach i obrzędach białoruskiego ludu. Stara pieśń mówi: „Swiaty Jurju, hdzie ty, bywaŭ?" „Ja po świetu chadziu.— Ludziam żyto radziŭ. Hdzie prasoŭ stapoju. Tam żyto kapoju; Hdzie pawioŭ rukawom — Tam sieno stabom."

SPRAWY EKONOMICZNE

PRZEMYSŁ DROBNY.

(Dokończenie).

Zwolennicy marksowskiej teoryi koncentracyi bogactw i zaniku przedsiębiorstw drobnych, tłomaczą zazwyczaj cyfry statystyczne, wykazujące nietylko utrzymywanie się przy życiu lecz i dalszy postęp rzemiosł uwagą, że *de facto*, większa część rzemieślników straciła już oddawna swą samodzielność, że figurujący w statystyce przemysłowej drobni są naprawdę tylko robotnikami domowymi, żyjącymi w niemniejszej zależności od wielkich przedsiębiorstw, niż robotnicy właściwi; po za tem zaś są drobni majsterkowie wiejscy, których liczba tymczasowo wzrasta, wskutek rozwoju gospodarki towarowej i pieniężnej po wsiach; lecz wzrost to chwilowy; gdy komunikacye się ulepszą — i rzemieślnik wiejski wpadnie w zależność zupełną od kapitału wielkiego. Argumenty te mogły długo znajdować wiarę — póki nie posiadaliśmy w tej mierze obliczeń statystycznych. Dziś jednak posiadamy je i widzimy z nich, że liczba robotników domowych nie wzrasta, lecz zmniejsza się, oraz że rzemiosło kwitnie o wiele lepiej w miastach, niż na wsi, a w okolicach przemysłowych pomyślniej, niż w czysto rolniczych.

Rok	Ilość przedsiębiorstw domowych w Niemczech	zatrudnionych w nich osób
1882	386,441	476,075
1895	342,487	457,748
	—43,924	—18,327

Przytem istniejąca w 1895 ilość przedsiębiorstw domowych w Niemczech nie wynosiła 18% wszystkich przedsiębiorstw rzemieślniczych, a liczba zatrudnionych w nich osób 14% wszystkich rzemieślników. Procent ten okaże się zaś jeszcze mniej znacznym, gdy zważymy, że niemal połowa (47,4%) wszystkich przedsiębiorstw domowych i zatrudnionych w nich osób (42,7%) przypada na jeden tylko przemysł tkacki, który po za tem jest już straconym posterunkiem dla rzemiosła.

Co się zaś tyczy rozwoju rzemiosł w miastach i gminach wiejskich, to wedle przeprowadzonej w Niemczech w 1895 r. specyalnej statystyki rzemieślniczej (Erhebungen über die Verhältnisse im Handwerk) liczono na 1,000 mieszkańców najwięcej rzemieślników w miastach o 20—100 tysięcy mieszkańcach i okręgach wiejskich o 100—150 miesz. na kw. kilometr, najmniej zaś w okręgach wiejskich o mniej niż 25 miesz. na kw. kil. Wogóle zaś wykazuje ona ścisłą zależność większego rozwoju rzemiosł od ogólnego wyższego rozwoju gospodarczego otoczenia.

Tak więc musimy przyznać bez ogródek fakt, że pomimo olbrzymiego rozwoju przemysłu wielkiego i znacznej jego przewagi konkurencyjnej, na ogół rzemiosło nie upada, lecz nawet rozwija się równomiernie niemal do przyrostu ludności. Upadają jedynie przedsiębiorstwa najdrobniejsze, w których prócz majstra nie widzimy ani maszyn, ani robotników. Wynika to wszakże nietyle z konkurencyi przedsiębiorstw wielkich, ile ze zmiany ogólnego charakteru przemysłu nowoczesnego. Dziś bowiem zarówno wielki jak i drobny przemysłowiec jest wytwórcą towaru, produkującym dla rynku. W takich zaś warunkach posiadanie kapitału dostatecznego dla zakupu materyałów surowych i półfabrykatów możliwie z pierw-

szej ręki i za gotówkę, dla wyczekania w razie potrzeby na lepsze ceny — staje się niezbędnym warunkiem samodzielnego istnienia przemysłowca. W przeciągu czasu od 1882 do 1895 liczba majstrów bez robotników zmniejszyła się w Niemczech. Natomiast w tym samym czasie ilość warsztatów z 2—4 i z 6—10 osobami wzrastała, jak również ilość zatrudnionych w nich osób.

Nie znaczy to oczywiście, by każde przedsiębiorstwo rzemieślnicze, o ile tylko do dwóch tych ostatnich kategoryj należy, tem samem miało byt zapewniony. Bynajmniej. Cały szereg rzemiosł widocznie upada, a z niektórych niemal śladu już dziś nie pozostało.

Większość rzemiosł upada pod naciskiem konkurencyi fabryk, wytwarzających maszynowo taniej, a również dobrze lub lepiej. W położeniu tem znajduje się wyrób gwoździ, łańcuchów itd., nożownictwo, tkactwo, przędzalnictwo, farbiarstwo, garbarstwo. Los ich jest zdecydowany. Muszą one zaniknąć, jak zanikły rzemiosła niegdyś potężne: wyrób kart, puszkarstwo, guzikarstwo itd. Inne znów jako to kotlarstwo, powroźnictwo, szewctwo, bednarstwo musiały zmniejszyć zakres swej produkcyi wskutek zmniejszenia się zapotrzebowania na odnośne wytwory. Upowszechnienie kaloszy, lin drucianych, statków emaliowanych wypiera stopniowo z użycia powrozy, drewniane i miedziane statki, zmniejsza konsumcyę obuwia. O zupełnym wszakże wyparciu z rynku tych ostatnich produktów nie może być mowy.

Straty wszakże, jakie w powyższych dziedzinach wytwórczych zadał rzemiosłu rozwój kapitalizmu wynagrodził mu hojnie w innych zakresach, zwiększając ogólną siłę spożywczą rynku wewnętrznego, tak dalece, że wynagrodzenie to przewyższyło znacznie straty.

Rzemiosło, które niegdyś panowało na całym obszarze życia przemysłowego narodów, dziś rozwija się tylko w pewnych specyalnych gałęziach. Lecz zakres ich tak dalece się dziś rozszerzył dzięki rozwojowi przemysłu nowoczesnego, iż większą ilość sił roboczych zatrudniają, niż niegdyś cały przemysł nietylko absolutnie, lecz i w stosunku do ogółu ludności.

Jakież to są te gałęzie pracy, które dziś przypadły w udziale drobnemu przemysłowi? Według statystyki przemysłowej Niemiec na 1,989,572 drobnych przedsiębiorstw i 3,191,125 zatrudnionych w nich osób, gałęzie przemysłu, w których przedewszystkiem produkcya drobna przeważa, obejmują 1,474,185 drobnych warsztatów z 2,643,957 osób.

Gałęzie przemysłu, w których przeważa produkcya drobna:

Fryzyerzy, szwaczki, wyrób lalek, kowale powyżej 90%; szklarze, krawcy, szewcy, stelmachy, koszykarze, rzeźnicy, bednarze powyżej 80%; piekarze, cukiernie, blacharze, apteki, zegarmistrze, rymarze, siodlarze, stroje damskie, młyny powyżej 70%; tapicerzy, zakłady fotograficzne, dekarze, stolarze, zduni, kuśnierze powyżej 60%; kotlarze, wyrób masła, margaryny, sera, malarze pokojowi, rzemiosła artystyczne, wyroby szydełkowe i haft, tokarze, gorzelnie, ciężkie wyroby z drzewa powyżej 50%; koronkarstwo, ślusarze, tkaniny z drzewa i słomy, pasmanterye, introligatorzy powyżej 40%.

Gałęzie przemysłu, w których w 1882 przeważał drobny, dziś jednak przeważa przemysł średni znajdujemy pod następującemi rubrykami: cieśle, kamieniarze, preparowanie i konserwowanie drzewa, wyroby z kartonu, ceramika, rzeźbiarze, browary, parasolnicy.

Porównywując gałęzie powyższe z temi, w których przeważa wielka produkcya, łatwo zauważyć, iż rzemiosło przedewszystkiem bezpośrednie dobra użytkowe wytwarza. To samo mówi nam i szwajcarska statystyka zawodowa. Wedle niej w 1888 r. na 100 osób zatrudnionych w odnośnej gałęzi przemysłu przypadało przeszło 50 robotników fabrycznych w produkcyi tytuniu, tkanin z jedwabiu, apreturze jedwabiu, apreturze i wyrobie tkanin wełnianych, wyrobie tkanin bawełnianych, produkcyi materyałów strzelniczych, papieru, czcionek, aparatów fizycznych mechanicznych, w farbowaniu tkanin bawełnianych, w produkcyi nawozów sztucznych, w drukowaniu tkanin bawełnianych, w produkcyi asfaltu, soli, sera i masła, w przemyśle odlewniczym, maszyn, narzędzi, wyrobów ze szkła, w produkcyi farb, posadzek, wyrobów ze złota i srebra z wyjątkiem jubilerskich, przetworów spożywczych, broni, materyałów palnych, guzików, w przemyśle drukarskim, w wyrobie ram, w przemyśle pozłotniczym, litograficznym, wyrobie wozów i innych środków komunikacyi, w produkcyi wyrobów z papy, cegieł. Natomiast widzimy przewagę rzemiosła w produkcyi tapet, mydła, świec, w przemyśle hafciarskim, w produkcyi szczotek, w piwowarstwie, w produkcyi wyrobów galanteryjnych z metalów, w garncarstwie, kowalstwie, garbarstwie, w produkcyi tkanin lnianych, instrumentów muzycznych, zegarków, w introligatorstwie, młynarstwie, kapelusznictwie, szewctwie, nożownictwie, stolarstwie, ciesielstwie, tokarstwie, w produkcyi wód mineralnych, w szklarstwie, blacharstwie, piekarstwie, parasolnictwie, rzeźbiarstwie, powroźnictwie, kuśnierstwie, bednarstwie, rymarstwie, krawiectwie. W ostatnich osiemnastu gałęziach przemysłu, rzemiosło zatrudnia przeszło 80% zajętych w każdej z nich sił roboczych.

Wedle austryackiej statystyki przemysłowej przyrost przedsiębiorstw rzemieślniczych w r. 1897/8 roku przewyższył ubytek przedsiębiorstw wogóle w następujących gałęziach produkcyi: garncarstwie, zduństwie, ślusarstwie, blacharstwie, jubilerstwie, kołodziejstwie, produkcyi powozów, wozów, welocypedów, instrumentów matematycznych, fizycznych i optycznych, produkcyi zegarków, instrumentów chirurgicznych, muzycznych, wag, wyrobów platerowanych, ram, w pozłotnictwie, produkcyi wachlarzy, grzebieni, w rymarstwie, introligatorstwie, tapicerstwie, krawiectwie męzkiem i damskiem, szewctwie, rękawicznictwie, parasolnictwie, kuśnierstwie, fryzyerstwie, piekarstwie, cukiernictwie, rzeźnictwie, dekarstwie, malarstwie, szklarstwie.

Gospodarcze życie dzisiejsze wykazuje wyraźne dążenie ku wyodrębnieniu i rozgraniczeniu funkcyj produkcyjnych drobnego i wielkiego przemysłu, powierzając pierwszemu całą niemal produkcyę bezpośrednich dóbr użytkowych, a drugiemu — wytwarzanie środków i materyałów produkcyi. Przemysł wielki wytwarza dobra użytkowe o tyle tylko, o ile zapotrzebowanie na nie skupione jest w olbrzymich masach (mundury dla wojska, broń itd.), lub produkcya ich ze względu na zbyt wielkie rozmiary jednostki produkcyi, czy też wysoce artystycznego jej charakteru przechodzi do siły warsztatu rzemieślniczego (budowa wielkich gmachów, przemysł artystyczny) albo też dobra odnośne w bardzo niewielkiej ilości gatunków mogą być mechanicznie, bez obniżenia gatunku ich wytworzone.

Po za gałęziami produkcyi, w których przeważa wielka i takiemi, w których przeważa drobna, istnieje jeszcze szereg gałęzi, których punkt ciężkości leży w średnim przemyśle, tj. w których zarówno drobny, jak wielki przemysł równomiernie się rozwija, średnie bowiem przedsiębiorstwa stanowią zawsze tylko najwyższe szczyty rzemiosła lub najniższe stopnie przemysłu wielkiego. Są to gałęzie produkcyi, w których, o ile służą wytwarzaniu dóbr produkcyjnych, dotychczas maszyna nie znalazła wielkiego zastosowania, a o ile służą produkcyi bezpośrednich dóbr użytkowych, maszyna odgrywa dość znaczną rolę, lecz towar albo traci wtedy na wartości, albo w tak wielkiej ilości gatunków musi być wytwarzanym, że produkcya maszynowa niewiele jest tańszą od ręcznej.

Dr. Stanisław Grabski.

W DALI.

Odesa. Korespondent z Odesy pisze do *Now. Wrem.*: „Noworosya wogóle, a w szczególności Odesa, powoli przeistaczają się w arenę, na której toczy się walka ekonomiczna pomiędzy ludnością rosyjską a Żydami, przybyłymi na brzegi morza Czarnego z kraju południowo-zachodniego. Walka zazwyczaj kończy się zwalczeniem Rosyan i zaborem przez Żydów tej lub innej gałęzi handlowo-przemysłowej. W ten sposób Żydzi owładnęli handlem zbożowym, handlem przewozowym na rynki, handlem drobnym, wieloma rzemiosłami zyskowniejszemi, piekarniami, sprzedażą wina besarabskiego, różnorodnemi fabrykami i zakładami, budownictwem itp. Mówiąc bez przesady, w Odesie nie znajdziemy ani jednego mniej więcej zyskownego przedsiębiorstwa, do którego nie wessałby się, jemu tylko wiadomym sposobem, podstępny, na wszystko zgadzający się Żyd. Z jedenastu tysięcy zakładów przemysłowych, zaregestrowanych przez organy administracyjne, około dziesięciu tysięcy jest eksploatowanych przez Żydów, którzy są albo właścicielami, albo też dzierżawcami tych przedsiębiorstw. Młynarstwo i wywóz cukru w latach ostatnich przeszły wyłącznie do rąk kapitalistów żydowskich. Dziewięć na dziesięć magazynów, sklepów, suteryn, również należy do Żydów. Rozumie się, Żydzi wyzyskują położenie i zawładnąwszy gałęziami handlowo-przemysłowemi, starają się zabezpieczyć, a w tym celu starają się stworzyć taki stosunek do ludności rdzennej, że najmniejsza kropla, przepełniająca czarę, prowadzi do walki. Większość kahałów stara się usilnie o to, aby Rosyan wyprzeć zupełnie, pozbawić ich zajęcia i w ten sposób uczynić nieszkodliwymi. W kamieniołomach okolicznych, które niemal zupełnie przeszły w ręce żydowskie, w fabrykach i zakładach, na budowlach prywatnych, na targach drobny robotnik rosyjski zupełnie zgnębiony jest przez Żydów. Żydzi bezustannie wyzyskują robotników, niedopłacają należności i doprowadzają do pasyi." Rzuciwszy takie tło, korespondent, jak gdyby dojrzał w owych stosunkach społeczno-ekonomicznych okoliczności łagodzące i jakby poniekąd usprawiedliwia rozruchy antysemickie w Odesie, których źródłem, jak utrzymuje autor, jest właśnie ta przewaga ekonomiczna Żydów ze wszystkimi typowymi jej skutkami. Oto są szczegóły pogromu, podane przez tegoż korespondenta: „D. 16 lipca, z powodu niedzieli, na natłoczonym rynku, należącym wyłącznie do Żydów, zebrała się gromada ludu. Byli tam mularze, cieśle, robotnicy i wielu żołnierzy, udających się na daleki Wschód. Żołnierze sprzedawali różne drobiazgi, byleby zyskać gotówkę na podróż. Jeden z nich sprzedał węzełek ze starzyzną za 3 rb. Żydowi. Żyd rzeczy zabrał, a gdy żołnierz zażądał pieniędzy, Żyd wmawiał, że już dał pieniądze i przekonywał, że żołnierz je zgubił. Szukano w piasku, lecz nie znaleziono. Wszczęła się kłótnia. W jednej chwili Żydzi przybiegli na pomoc towarzyszowi, a chrześcianie żołnierzowi i wkrótce tłum ten zwarł się w masę, ponad którą biegały strzępki ubrania, kawałki desek i grad kamieni. Do tego tłumu przyłączali się coraz to inni i bójka się zwiększała; tłuczono wszystko wokół. Policya, o ile mogła, uśmierzała nieporządki. Wezwano kozaków, przybył też i naczelnik miasta, który nawoływał do uspokojenia się, co po części skutkowało. Zdawało się nawet, że walka się zakończy na tem miejscu. Wkrótce, gdy banda rozeszła się, na ulicach

przyłączyli się do niej amatorzy cudzej własności i wtedy rzucono się na domy żydowskie. Ścigane przez wojsko, bandy poprzestawały na tłuczeniu szyb, niszczeniu szyldów i budek. W nocy rozruchy trwały na Mołdawance, a nazajutrz tłum rozbijał sklepy, drzwi, okna na ulicach główniejszych, choć wojsko i policya przeszkadzała w miarę możności. Dnia 18 lipca już tylko gdzieniegdzie trwały zaburzenia, lecz wojsko i policya, oraz żandarmi konni zdołali przywrócić porządek."

KRONIKA.

Wiadomości społeczne. Na utrzymanie zakładów dobroczynnych w roku przyszłym oznaczono dla Królestwa Polskiego podatek w następującej wysokości: na gub. Warszawską rb. 38,209 kop. 93, Kaliską rb. 22,727 kop. 37, Kielecką rb. 19,877 kop. 29, Łomżyńską rb. 14,150 kop. 2, Lubelską rb. 26,921 kop. 51, Piotrkowską rb. 27,269 kop. 88, Płocką rb. 14,127 kop. 9, Radomską rb. 20,377 kop. 57, Suwalską rb. 16,303 kop. 97, Siedlecką rb. 18,514 kop. 80, na Warszawę rb. 31,511 kop. 57—razem 250,000 rubli.

— W celu możliwie jaknajszerszego zapoznania publiczności ze znaczeniem marek oszczędnościowych, minister komunikacyj polecił poczynić o nich ogłoszenie we wszystkich dostępniejszych dla publiczności miejscach na stacyach kolejowych, jak również w wagonach klasy II i III.

Szkoły. We wszystkich seminaryach nauczycielskich, oraz tych szkołach dwuklasowych, które posiadają odpowiednią ilość gruntu na fermy doświadczalne, postanowiono na mocy zatwierdzonej w d. 25 czerwca uchwały rady państwa wprowadzić wykłady gospodarstwa rolnego.

— Dyrekcye szkół ludowych otrzymały z ministeryum oświaty zapytanie, o ile byłoby pożądane dla ludności miejscowej urządzenie w szkołach początkowych miejskich i wiejskich wykładów dla dorosłych, podług specyalnie opracowanych programów.

Hygiena. Niemieckie Towarzystwo hygieny ludowej ogłasza, że od 1 października rozpoczyna wydawnictwo czasopisma popularnego „Blätter für Volksgesundheitspflege" (dwutygodnik, cena 4 m. 80 pf. rocznie, Monachium u. R. Oldenbourga). Jako wydawcy podpisują profes. Rubner, Leyden, Boediker (b. dyrektor urzędu ubezp. robotników) i inni.

Sprawy emigracyjne. Według świeżo ogłoszonego sprawozdania „Biura imigracyjnego" w New-Yorku w ubiegłym roku 1899/900 przybyło do portu new-yorskiego 341,711 (w poprzednim roku 245,550). Pod względem narodowości przybyło: Włochów 100,000, Polaków 36,855, Rosyan 44,520, Irlandczyków 25,200, Niemców 23,382, Szwedów i Norwegów 22,847. Z pośród Włochów było 40 tysięcy analfabetów, Polaków 10,000, Niemców 1,000. Sprawozdanie nie objaśnia bliżej tych cyfr, nie omylimy się jednak, przypuszczając, że obie rubryki polską i rosyjską objaśnimy w ten sposób, że połowę albo i trzy części zapisanych pod nią emigrantów stanowią — Żydzi.

Z literatury. Proszeni jesteśmy o zaznaczenie, że utwory Richepina („Pieśń nędzarzy," „Morze" itd.) przetłomaczyła znana naszym czytelnikom poetka, El—ka.

Zmarli. Achmed Dżewad Pasza, słynny mąż stanu turecki, ur. 1850, um. 10 sierpnia.

— Wilhelm Steinitz, znany szachista, ur. 1837 w Pradze, um. 19 sierpnia w New-Yorku.

— Jan Strjelbickij, generał rosyjski, zasłużony kartograf, autor poważnej pracy „La superficie de l'Europe" (1882). Dokonał dwukrotnie pomiaru Rosyi Europejskiej (1874 i 1889) ur. 1828, um. 28 lipca.

— Lord Russele of Killowen, znakomity pracownik angielski, niegdyś obrońca Parnella, ostatnio lord-sędzia najwyższy W. Brytanii, z pochodzenia Irlandczyk, zm. 10 sierpnia.

OGŁOSZENIA.

Redaktor i wydawca dr. fil. A. Świętochowski.

Дозволено Цензурою. Варшава, 1о Августа 1900 г. Druk K. Kowalewskiego. Warszawa, Mazowiecka 8.